

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.



Roznosicielka wody.

TOM I

obejmujący
zeszyty 1—6

oraz

Album portretów
Serja I.

CENA zł. 3.

.....

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży
№ 8.
1928 r.

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego
WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.



BRACIOM SWOIM
I KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
I WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEBYTEJ
POŚWIĘCA
AUTOR.

.....

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGARNI
GEBETHNERA
..... i WOLFFA
1921 r.

Zeszyt 4.

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego
WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVII, XIX i XX

BRACIOM SWOIM
i KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEŻYTEJ
ROSWIĘGA
AUTOR

Oddito w tłoczni p. f. „St. Święcki“ w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy.

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
i KSIĘGARNIA
GEBETHNERA
i WÓJCIKA
1921 r.

IV.

Szkolne czasy moje w Kielcach.

(r. 1860 do 1864 r. w gimnazjum).

Po ukończeniu czterech klas szkoły prywatnej Hillera w Kielcach, wakacje moje w Zagórzcu w lecie 1860 roku prędko przebiegły. W końcu września, pożegnawszy dziadków i domowników, wyruszyliśmy z mamą i młodszem rodzeństwem, jak zwykle koźmi rozstawnemi do Kielc, gdzie ojciec już nas oczekiwał po powrocie ze swego urlopu.

Po wzajemnych powitaniach, zaraz na wstępie czekała nas dobra nowina o znacznem podwyższeniu pensji sądowej ojca. Komisja rządowa sprawiedliwości w Warszawie, reskrytem z dnia 18/30 lipca 1860 r. № 14990, zawiadomiła prezesa Trybunału cywilnego w Kielcach, że stosownie do rozporządzenia z dnia 2/14 lipca tegoż roku № 14040 o podwyższeniu płac urzędnikom, utworzony został etat szczegółowy za drugie półrocze 1860 r., i do wykonania Rządowi gubernialnemu przesłany. Podług tego kasa gubernialna i właściwe kasy powiatowe zaczęły skutecznie wypłaty za dodatkowemi listami płac, z odpowiedniem potrąceniem na emeryturę. Ojciec pobierał dotychczas bardzo skromną pensję rb. 390 rocznie, która odtąd podniesiona została na rb. 575 t. j. o rb. 185.

Jednocześnie zaszła znaczna oszczędność w opłacie szkolnej. Gdy bowiem w Zakładzie naukowym prywatnym Hillera ojciec płacił za mnie corocznie złp. 500 czyli 75 rb., to w Szkole realnej rządowej, do której miałem wstąpić, płaciło się rocznie tylko 8 rb., t. j. prawie dziesiątą część tego co poprzednio. Różnice owe, w zmniejszeniu opłaty szkolnej i w zwiększeniu pensji ojca, aczkolwiek niewielkie, były jednak stosunkowo dość ważne wobec wzrastających powoli kosztów utrzymania coraz liczniejszej rodziny, podnoszenia się cen żywności, mieszkania i t. p.

Szkoła wyższa realna w Kielcach, do której miałem wstąpić, założona w r. 1845, przechodząc różne zmiany, przetrwała do r. 1862. Treściwą jej historję skreślił kolega mój z tejże szkoły Feliks Rybarski, kielczanin, w broszurce wydanej w r. 1888,

w drukarni „Gazety kieleckiej“ p. n. „Szkoła wyższa realna w Kielcach“.

Podobnie jak w całej Polsce, mianowicie w czasach porzobiorowych, tak i w Kielcach szkoły nie rozwijały się i nie ulepszały organicznie, spokojnie, postępowo, lecz ulegały często nagłym przemianom i przerwom chaotycznym, zwłaszcza co do języka wykładowego i systemów wychowawczych. Do XVIII-go wieku w Kielcach, pisze Rybarski, prócz szkoły parafjalnej, nie było innych szkół publicznych. Dopiero Konstanty Felicjan Szaniawski, biskup krakowski (1719 — 1732 r.) sprowadziwszy do Kielc księży Komunistów, zwanych w Polsce Bartoszkami, od imienia ich założyciela Bartłomieja Holzhauzera, poruczył im wyłącznie kierunek szkół publicznych. W 1724 r. 24 marca zaczęto kopać fundamenty pod gmachy szkolny i seminaryjny, a już 1727 r. 1 września nastąpiło uroczyste otwarcie szkół kieleckich i wykład nauk. Akademia krakowska z początku niechętna była otwarciu tych szkół w Kielcach i oddaniu ich pod kierunek księży Bartoszków, gdyż ci nie od rektora Akademii, lecz od swego prezesa zależeć mieli. Biskup Szaniawski w liście pisanym do rektora Akademii zapewnił tego ostatniego, że profesorowie szkół kieleckich co do programu i wykładu nauk będą ściśle stosować się do przepisów Akademii, a otwarcie szkół wyższych w Kielcach uważa za konieczne, gdyż szkoła elementarna miejscowa nie może uczynić zadość potrzebom mieszkańców miasta i okolicy. Wkrótce też szkoły kieleckie uzyskały uznanie Akademii krakowskiej, która poczytała je za swoją kolońję, i w r. 1735 nadała im herb ich fundatora oraz oznaki służące dla profesorów wydziału akademickiego. Po utworzeniu Komisji edukacyjnej 1773 r. szkoły kieleckie przeszły pod jej zarząd. Miały one trzy klasy o trzech profesorach, a kurs dla każdej klasy był dwuletni. Uczniów bywało w nich, jak na owe czasy, bardzo dużo, gdyż niekiedy przeszło 200. Ze sprawozdań wizytatorów widać, że szkoły te były dobrze prowadzone.

Po rozbiore Polski Kielce przeszły pod panowanie austriackie, a szkoły kieleckie pozostały nadal pod zarządem księży Komunistów, pod nazwą „Cesarsko-królewskiego gimnazjum“ o pięciu klasach. Następstwem wojny 1809 roku było między innymi przyłączenie Kielc do Księstwa warszawskiego i przejście szkół pod zarząd Izby edukacyjnej. Wskutek jednak napływu do r. 1809 wojsk różnej broni, gmach szkolny zajęty został na lazaret wojskowy, i przez nieostrożność żołnierzy zgorzał. Po spaleniu szkół kieleckich, z powodu braku miejsca gdzieby młodzież mogła pobierać nauki, te prawie przez rok cały były zawieszane. Po roku dopiero staraniem Izby edukacyjnej odnowiono w części gmach szkolny i otwarto wykłady pod nazwą „Szkół wydziałowych kieleckich“, o 4-ch klasach prócz klasy elementarnej czyli początkowej. W r. 1816 warszawska Komisja

rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego otworzyła w Kielcach „Szkolę wojewódzką”. Uczelnia ta w roku szkolnym 1816/17 miała tylko klasy III i IV, do których uczniowie przeszli głównie ze Szkoły wydziałowej, a ta ostatnia zamieniona została na Podwydziałową o dwóch klasach. Szkole wojewódzkiej przybawała co rok jedna klasa, tak że w roku szkolnym 1819/20 miała już przepisaną liczbę klas sześciu. Szkoła podwydziałowa zaś reskryptem Komisji rząd. wyznań i oświecenia z dnia 10-go sierpnia 1819 r. nr. 5013 została przyłączona do Szkoły wojewódzkiej.

Szkoła wojewódzka istniała w Kielcach do r. 1831, w którym, podobnie jak wszystkie inne zakłady naukowe w Królestwie polskim, została zamknięta na kilka miesięcy. W r. 1832 została otwarta w Kielcach 4-klasowa Szkoła wydziałowa, i ta przetrwała tylko do końca roku szkolnego, poczem w tymże roku 1832 została zamknięta. Dopiero w r. 1833 od 1 października otwarto w Kielcach nareszcie Gimnazjum wojewódzkie 8-klasowe, mające w pierwszym roku szkolnym 1833/4 tylko 6 klas; co rok jednak przybawało po jednej klasie, tak że w roku szkolnym 1835/6 posiadało już wszystkie 8 klas. Od klasy VI-tej począwszy przedmioty nauk dzieliły się na dwa oddziały: filologiczny i techniczny. W r. 1836 nazwę Gimnazjum wojewódzkiego zamieniono na Gimnazjum gubernialne. Kurator okręgu naukowego warszawskiego reskryptem z dnia 27 maja 1840 r. zawiadomił dyrektora gimnazjum, że na zasadzie decyzji cesarskiej z dnia 14 marca t. r. 1840 Gimnazjum gubernialne w Kielcach z końcem roku szkolnego zostaje zamknięte. Przyczyną tak surowego kroku było samowolne opuszczenie gimnazjum przez kilkunastu uczniów w zamiarze udania się za granicę. Przez lat cztery potem nie było w Kielcach zakładu naukowego rządowego, tylko instytut 4-klasowy prywatny Fryderyka Lippla. Dopiero decyzją cesarską z dnia 27 grudnia 1843 r. przeniesiono z Pińczowa do Kielc Szkołę powiatową 4-klasową z początkiem roku szkolnego 1844/5. Minister oświecenia publicznego w odezwie swej z dnia 27 marca 1845 r. zawiadomił kuratora okręgu naukowego warszawskiego, że w dniu 21 marca 1845 r. rozkazano: liczbę szkół powiatowych, które były zakładami przygotowawczymi do gimnazjów ograniczyć do koniecznej potrzeby, a także zmniejszyć liczbę istniejących gimnazjów filologicznych, tak iżby w każdej gubernji, wyjąwszy warszawską, było tylko jedno gimnazjum. W miejsce zaś zamkniętych otworzyć szkoły wyższe realne, mianowicie w Kielcach, Kaliszu lub Siedlcach.

Z polecenia też kuratora okręgu naukowego warszawskiego z dnia 23 sierpnia 1845 r. szkoła powiatowa w Kielcach z początkiem roku szkolnego 1845/6 przemienioną została na Szkołę wyższą realną z programem techniczno-górnicznym o 6 klasach. W pierwszym roku otwarto pierwsze 4 klasy, a z każdym rokiem następnym przybawało po jednej klasie wyższej, tak że

w r. 1847/8 Szkoła realna posiadała już wszystkie sześć klas. Z byłej szkoły powiatowej pozostawiono na rok szkolny 1845/6 trzy klasy: II, III i IV-tą; ci zaś uczniowie, którzy nie otrzymali w r. 1848 świadectwa z ukończenia tejże szkoły, musieli się udać do innych szkół filologicznych. Szkoła powiatowa w Kielcach w r. 1844/5 miała uczniów 339.

W Szkole realnej kieleckiej wykładane były następujące 23 przedmioty:

- | | |
|-------------------------------|--------------------------------------|
| 1. Religja i historia święta. | 13. Nauki przyrodnicze i higiena. |
| 2. Język ruski. | 14. Zoologia. |
| 3. „ polski. | 15. Botanika. |
| 4. „ niemiecki. | 16. Mineralogja. |
| 5. Arytmetyka. | 17. Fizyka ogólna. |
| 6. Buchalterja. | 18. Chemja „ |
| 7. Algebra. | 19. Geografja ze statystyką. |
| 8. Trygonometria. | 20. Historia powszechna. |
| 9. Sekcje koniczne. | 21. Rysunki. |
| 10. Geometria. | 22. Kaligrafja. |
| 11. „ opisowa. | 23. Nauki technologiczno - górnicze. |
| 12. Mechanika ogólna. | |

Nauka religii innych wyznań, prócz rzymsko-katolickiej i śpiewu kościelnego, dawana była w czasie wolnym od lekcji planem przepisanych. Według planu owego w każdej klasie było tygodniowo po 32 godzin lekcji, ogółem we wszystkich klasach 192 godzin wykładowych. Dla ułatwienia młodzieży pobierającej nauki w szkołach realnych wstąpienia do Akademii medycznej w Warszawie minister oświecenia, reskryptem z dnia 22-go sierpnia 1856 r. polecił, aby w godzinach wolnych wykładany był też język łaciński przez dwóch nauczycieli, za wynagrodzeniem dodatkowym po 150 rubli rocznie. W szkole realnej kieleckiej wykładali języka łacińskiego, począwszy od klasy III-ciej, profesorowie Przeorski i Duchnowski, od roku szkolnego 1856/7 do 1860/61.

W Szkole realnej kieleckiej zapis uczniów i egzamin odbywał się zwykle od 1 do 10 sierpnia. Opłata szkolna od roku 1851 wynosiła w czterech niższych klasach po rubli 8 rocznie, a w dwóch wyższych po rb. 15, i wnoszona była przy zapisie. Po ukończeniu zapisu i egzaminów następowało otwarcie wykładów nauk. Zgromadzonym w klasach uczniom odczytywano ustawy i przepisy szkolne, z poleceniem ścisłego stosowania się do nich. Lekcje zaczynały się od godziny 8 rano i trwały do 12 w południe, a następnie od 2 do 4 po południu. Co czwartek była rekreacja popołudniowa, t. j. lekcje trwały tylko od 8 rano do 12-tej.

Uczniowie posiadający patent z ukończenia czterech klas w Zakładzie naukowym Hillera w Kielcach, mieli prawo wstępu do klasy V-tej Szkoły realnej bez egzaminu, na tej zasadzie, że

przed otrzymaniem owego patentu zdawali egzamin roczny wobec tych samych profesorów, którzy wykładali w Szkole realnej. Mnie jednak ojciec oddał powtórnie do klasy IV-tej, ponieważ miałem dopiero lat 13-cie, a niektórych przedmiotów matematycznych, jak np. geometria wykreślna i trygonometria wykładanych w klasie IV Szkoły realnej w Zakładzie Hillera nie nauczano.

Budynek piętrowy Szkoły realnej przy ulicy Krakowskiej przytykał do kościoła św. Trójcy, po drugiej stronie którego stał duży dom piętrowy kieleckiego Seminarjum duchownego, naprzeciwko Ogrodu publicznego. Za Szkołą i Seminarjum ciągnęły się wielkie podwórce i ogrody przylegające do ulicy Wesolej, za którą rozpościerały się pola podmiejskie (później dopiero zabudowane szeroko jako nowe rozległe przedmieścia). Przed głównymi drzwiami wchodowymi Szkoły realnej (nad którymi wisiała tablica z napisem ruskim i czarnym orłem dwugłowym) wznosiły się kamienne schodki dwustronne o kilku stopniach, z barjerą murowaną przykrytą płytami kamieni ciosowych. W czasach późniejszych owe schodki tamujące chodnik zostały zniesione, drzwi główne nad nimi zamurowane, sień zamieniona na izbę frontową, a wejście do gmachu szkolnego otwarto tuż obok kościoła św. Trójcy, do którego ze szkoły prowadził dawniej wprost wielki korytarz wewnętrzny.

Z trotuaru przy ulicy Krakowskiej po owych schodkach kamiennych wchodziło się do gmachu Szkoły realnej do sieni długiej, prowadzącej naprzestrzał na podwórzec. Z sieni tej nalewo szerokie schody wiodły na piętro do mieszkania dyrektora i sal szkolnych górnych. Na parterze od sieni naprawo ciągnął się korytarz długi szeroki, przy którym były mniejsze sale paru klas wyższych, laboratorium chemiczne, gabinet fizyczny, wreszcie drzwi do ogródka dyrektora od podwórza. W końcu korytarza kilkanaście schodów prowadziło w dół do przedsionka kościoła św. Trójcy.

Z sieni głównej nalewo, za schodami wiodącymi na piętro, była kancelaria szkolna. Tam odbywał się zapis uczniów, składanie dokumentów, kwitów kasowych z opłaty szkolnej i inne formalności. Tam schodzili się nauczyciele na lekcje i rady, inspektor i dyrektor załatwiali sprawy szkolne bieżące.

Ze względu na mój młody wiek lat 13 i na przejście do innej szkoły, jak to już wspomniałem powyżej, ojciec zapisał mnie powtórnie do klasy IV-tej w Szkole realnej, chociaż posiadając patent z ukończenia klas 4-ch Zakładu naukowego Hillera, mogłem być przyjęty do klasy V-tej bez egzaminu. Powtórzenie klasy IV-tej było tembardziej wskazane, że właśnie podówczas wprowadzono w Szkole realnej wykłady wszystkich przedmiotów, prócz nauki religii, w języku rosyjskim. Wszystkie też podręczniki książki szkolne, znacznie droższe od dawnych polskich, uczniowie musieli zakupić, i z nimi mozolić się, mało co rozumiejąc zwłaszcza z początku.

Szkoła realna wogóle była przepełniona, mianowicie w 4-ch klasach niższych, jako tańszych, z opłatą roczną wynoszącą tylko 8 rubli. W klasach wyższych z opłatą rb. 15 rocznie bywało mniej uczniów. Wielu bowiem przestawało na ukończeniu klas 4-ch, mianowicie owi, którzy przechodzili potem do Seminarjum duchownego. Szli tam zwykle ci, którzy nie otrzymawszy promocji do klasy V-tej, po dwu latach pobytu w klasie IV-tej, musieli opuszczać całkiem Szkołę realną.

Klasa IV-ta, do której wstąpiłem, była również przepełniona, liczyła wówczas przeszło 80 uczniów i zajmowała wielką salę na pierwszym piętrze od podwórza. Była źle oświetlona dwoma tylko oknami, a jeszcze gorzej ogrzewana zimą jednym starym piecem. Wejście do naszej klasy było z dużego korytarza, naprzeciwko drzwi do mieszkania dyrektora, który zajmował najładniejsze pokoje frontowe od ulicy Krakowskiej. Przy tym samym korytarzu na I piętrze były duże sale klas niższych I, II i III-ciej. Klasy wyższe mniej liczne mieściły się na parterze: od ulicy klasa V, od podwórca VI-ta, w salach znacznie mniejszych. Nad drzwiami wszystkich klas były tabliczki czarne z napisami ruskimi: „I klas“, „II klas“ i t. d.

Uczniowie Szkoły realnej byli umundurowani obowiązkowo. Mundur codzienny stanowił pod owe czasy surdut czarny z guzikami metalowymi białymi (zwykle z miedzi posrebrzanej), z kołnierzem stojącym czerwonym paśowym; spodnie czarne lub popielate, szaraczkowe, w lecie dozwolone też były białe lub szare z płótna tak zwanego żaglowego. Czapka czarna okrągła z daszkiem czarnym lakierowanym, z lampasem czerwonym i takąż wypustką wokoło. Palto zimowe stanowiła t. zw. szynela kroju wojskowego ze spięciem z tyłu, z sukna popielatego lub czarnego, z guzikami metalowymi gładkimi posrebrzanymi, z patkami czerwonymi na brzegach kołnierza po obu stronach z guzikiem. Niektórzy uczniowie nosili też płaszcze szaraczkowe lub czarne z peleryną długą po pas. Zarząd szkoły pilnował ściśle noszenia munduru i zapinania go na wszystkie guziki, nawet latem w największe upały. Ten i t. p. rygory ówczesnych szkół rządowych, choć wielce niehigieniczne, były dla młodzieży bardzo przygnębiające, mianowicie dla tych, którzy w szkołach prywatnych przywykli do swobodnego ubrania cywilnego, stosowanego i zmienianego odpowiednio do pory roku i ciepłoty dziennej.

Z kolegami z którymi ukończyłem klasę IV-tą pensjonatu Hillera straciłem styczność. Jedni z nich poprzestali na 4-ch klasach; mianowicie paniczycy wieśniacy synowie bogatych właścicieli wiejskich, poszli gospodarzyć przy rodzicach (kierując się zasadą: że przy dużym majątku nauka jest niepotrzebna i szkodzi zdrowiu). Niektórzy, nie zdawszy egzaminu, pozostali na drugi rok w IV-tej klasie zakładu Hillera. Inni wreszcie, korzystając z praw patentu Hillerowskiego, wstąpili do klasy V-tej Szkoły realnej.

Ja, zapisawszy się powtórnie do klasy IV-tej owej Szkoły, znalazłem się całkiem w innym kole nowych towarzyszków. Tylko nauczyciele ciż sami w Szkole realnej, co wykładali w zakładzie Hillera, stanowili dla mnie wśród nowego otoczenia łącznik duchowo-naukowy w dalszym ciągu wykładów. To ułatwiało mi znacznie pracę szkolną w nowych warunkach, bardzo utrudnionych przez wykład wszystkich przedmiotów po rosyjsku.

Zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego 1860/61, w końcu września, dyrektor Formiński oraz inspektor Filanowicz obchodzili wszystkie klasy, odczytując przepisy regulaminu szkolnego i czyniąc przegląd umundurowania. Usadzali przytem uczniów porządkiem abecedowym nazwisk. Wypadło to dla mnie korzystnie, gdyż litera C zajmowała jedną z pierwszych ławek, blisko katedry nauczyciela i tablicy. To dawało mi możność słyszenia dobrze wykładu i objaśnień rysunków na tablicy kreślonych przez nauczycieli i kolegów wydających lekcje.

Według planu szkolnego lekcje rozpoczynały się codzień o godzinie 8 rano i trwały do 12-tej, z pauzą 10 minut o godzinie 10-tej. Po południu wykłady odbywały się od 2 do 4-tej, krom czwartku, w którym popołudnie było wolne jako rekreacja.

Wszelako codzień przed lekcjami uczniowie wszystkich klas musieli przychodzić o godzinie 7-mej rano do szkoły, skąd parami poczynając od klasy I-ej, szli korytarzami do sąsiedniego kościoła seminaryjnego św. Trójcy na mszę, którą odprawiał zawsze nauczyciel religii i zarazem prefekt szkolny ksiądz Brudziński.

W niedziele, święta kościelne i galowe czyli dworskie, takż uczniowie wszystkich klas musieli przychodzić o godzinie 9-tej rano do szkoły skąd szli parami do tegoż kościoła. Klasa I ustawiła się tuż pod wielkim ołtarzem, za nią kolejno inne klasy młodsze od II do IV-tej stały wpośród kościoła, klasy starsze V i VI zasiadały w ławkach po obu stronach kościoła pod ścianami, bliżej głównych drzwi wchodowych. Na chór kościelny szli z organistą Grabowskim niekiedy uczniowie, mający lepsze głosy i słuch muzykalny, pobierający lekcje śpiewu. W dni powszednie odprawiała się cicha msza; w niedziele, święta i galówki wotywa, z nieodzownym hymnem „Boże cesarza chroń“ w dni galowe.

To przymusowe codzienne chodzenie na mszę do kościoła zabierało, z wczesnem wstawaniem, ubieraniem i śniadaniem, parę najlepszych godzin czasu porannych, gdy przy umyśle wypoczętym możnoby korzystnie przepowiadać sobie zadane lekcje codzienne. Na to były wolne tylko wieczorne godziny, najmniej odpowiednie po całodziennem przemęczeniu umysłu. Najgorzej wszelako na zdrowiu młodzieży odbijał się ten przymus kościelny słuchania mszy w zimie w czasie wielkich mrozów, niepogody i zawiei śnieżnych. Aby na godzinę 7-mą rano nie spóźnić się

do kościoła, trzeba było w zimie wstawać pociemku, myć się pośpiesznie i ubierać, pić naprędce gorące mleko lub wrzącą herbatę, a potem nagle wyszedłszy na mróz biegnąć dysząc do szkoły. W kościele potem, prawie przez godzinę, kilkuset uczniów na posadzce kamiennej lodowozimnej musiało stać w obuwiu wilgotnem od śniegu, często bardzo lichem u chłopców biedniejszych, niezawsze ubranych dość ciepło. To też wielu odmrażało tam nogi i ręce, i nabawiało się chronicznych chorób dróg oddechowych: kaszlu, chrypy, zapalenia krtani i oskrzeli, jeśli nie czegoś gorszego. Rekonwalescenci po chorobach przebytych, przeziębiali się i zapadali nanowo na zdrowiu, nieraz ciężko, z powodu owego bezwzględneho rygoru nabożeństwa codziennego. Klerykalne Kielce, miasto biskupio-seminaryjne i wszystkie dewotki zachwycały się ową żarliwością nabożną księdza prefekta. A między uczniami nie mało było chłopców ubogich, niemających ciepłego ubrania i obuwia całego na zimę! Na domiar złego, po przeziębieniu w kościele szło się zaraz do klas bardzo słabo ogrzewanych, a podczas wielkich mrozów prawie całkiem zimnych. Gdy dziatwa tupiała nogami dla rozgrzania się i żaliła przed nauczycielami ubranymi w ciepłe futra wtedy inspektor Formiński, też w palcie futrzanem obchodził klasy, wydobywał ciepłomierz schowany pod pachą i potrzymawszy chwilę pokazywał, że przecież w szkole nie jest zimno, owszem całkiem ciepło według przepisów ustawy. Cóż było robić na takie argumenty? Siedzieliśmy w paltach z dłońmi w rękawach. A w przerwach między lekcjami towarzysze weselsi rozgrzewali się boksowaniem, robieniem „sera“ czyli gnieceniem się forsownem po kilkunastu w ławie z frycami szkolnemi wpośrodku, którzy ściśnięci nadmiernie wrzeszczeli w niebogłosy! Na ten hałas wpadał nauczyciel, rozpoczynał lekcję, wszystko uciszało się i wracało do zwykłego porządku.

W klasie IV-tej Szkoły realnej w r. 1860/61 wykładane były przedmioty prawie tezsame i przez tychże nauczycieli, co i w tejże klasie zakładu prywatnego Hillera, którą w roku zeszłym przeszedłem. A mianowicie: naukę religji wykładał ksiądz prefekt Brudzyński Franciszek, język polski profesor Duchnowski Rajmund (tylko 2 godziny tygodniowo składnię i naukę stylu), język ruski 4-ry godziny tygodniowo Jezierski Ignacy, język niemiecki Kroemer Robert, arytmetykę i solidometrię Wermiński Feliks, technologje i geografję Święcicki Hipolit, fizykę Plewiński Edward, chemję Rogojski Józef, wreszcie rysunków i kaligrafji uczył nas Górnicki Szymon.

Nauczyciele owi byli niewątpliwie ludźmi dobrej woli, wszelako wielu z nich było już w wieku podeszłym. A system pedagogiczny ówczesny był niesłychanie zacofany, zwłaszcza w szkołach rządowych. Kuratorem okręgu naukowego warszawskiego, do którego Kielce należały, był wtedy Muchanow ze

swoim słynnym strasznym „systemem muchanowskim“ z podkładem policyjno-rusyfikacyjnym*).

Autor dzieła „Rok 1863 — w pięćdziesiąt rocznicę” (wydanego w r. 1913 w Poznaniu, nakładem Dzisławła Rzepeckiego i Sp.) J. Grabiec, na str. 48 tak charakteryzuje ów system Muchanowski: „Stosunki szkolne były w owych czasach okropne. Niski poziom naukowy, dyscyplina bezmyślna, poparta niełudzkim biciem różgami za łada powodem, szpiegostwo rozwinięte do ostatecznych granic i popierane starannie przez przełożonych szkół rosyjan, odbierały szkołom zupełnie charakter wychowawczy. Natomiast wstrętną rolę szkoły te odgrywały jako narzędzia rusyfikacji i paczenia ducha narodowego, w czem zwłaszcza celował ówczesny kurator okręgu naukowego i wszechwładny, wobec słabego namiestnika, pan w Królestwie polskiem — Paweł Muchanow. Nienawidził on Polski bezwzględnie, aczkolwiek sam mieszkał w Królestwie oddawna, i nawet był żonaty z polką. Młodzież prześladował namiętnie. Na każdym kroku starał się utrzymać dawne Paskiewiczowskie porządki. W tym też czasie nie było bodaj bardziej nad Muchanowa znienawidzonego osobnika w Warszawie. Jednocześnie jednak szkoła prowadzona w duchu Muchanowa, nie dając nauki i demoralizując młodzież, wszczepiała w nią bezwzględną nienawiść ku sobie i ku rosyjskim porządkom. Szkoły też średnie stały się bardzo prędko widownią czynów patriotyzmu, jaki się zaczął w tym czasie niepowstrzymanie szerzyć między młodzieżą. Uczniowie zaczęli burzyć się przeciw rusyfikacyjnym nauczycielom, urządzali awantury, domagali się większego niż dotąd uwzględnienia języka polskiego i t. d.“

I w Kielcach także reakcja przeciw owemu ohydnemu systemowi szkolnemu stopniowo się rozwinęła. Inspektor kieleckiej Szkoły realnej Antoni Formiński i jego pomocnik Pallady Filanowicz, dwie czysto biurokratyczne kreatury, byli ślepemi wykonawcami muchanowskiego regulaminu szkolnego, jaki dbał najmniej o gruntowną naukę, a najbardziej o zewnętrzny rygor policyjno-szkolny i o formalistykę rusyfikacyjną.

Klasy szkoły były przepełnione. Liczyły po 80 do 100 uczniów w klasach niższych, w wyższych też po kilkudziesięciu. Wobec tego w czasie słońca i błota podłogi były zawsze zanieczyszczone, a po wyschnięciu, przy ciągłym ruchu, wydawały tumany kurzu i pyłu. Sale obszerne nie były w zimie ogrzewane należycie, przy pomocy jednego tylko pieca, bez żadnej wentylacji. W starym gmachu okna małe wpuszczały powietrze w ilości niedostatecznej w lecie.

Nauczyciele mimo chęci nie mogli przy nadmiernej liczbie uczniów utrzymać w czasie lekcyj należytego ładu i skupienia

*) Równie zgubnym dla oświaty krajowej jak późniejszy system kuratora Apucztina działacza moskiewskiego.

uwagi, mianowicie w ławach końcowych, dalszych od katedry i tablicy szkolnej. Na lekcjach geografii i technologii w klasie IV-tej, wykładanych przez profesora Świącickiego, panował hałas i bezład nadzwyczajny. Profesor Ś., człowiek dobroduszny i jowialny, nie umiał utrzymać swej powagi, podczas jego lekcyj uczniowie robili co im się tylko podobało. Po zadaniu z lichego podręcznika „kawalka“ do wyuczenia się na lekcję następną, uczniowie „wrywani“ wypowiadali lekcję przy katedrze, pytlując co im ślina na język przyniosła. Nauczyciel tymczasem uganiał się po klasie, karcąc niesfornych krzykaczy długim rzemykiem z węzłkami, tnąc po głowie i uszach. Wszystkim uczniom pozwalał przepowiadać sobie lekcje głośno, co wytwarzało gwar gorszy niż w chederze żydowskim. Korzystając z tego strasznego zgiełku amatorzy śpiewu nucili w ostatnich ławach wesołe pieśni studenckie. Na szczęście anarchja owa była tu wyjątkową. Na wykładach innych przedmiotów nauczyciele poważniejsi umieli utrzymać należyty spokój i ład jaki taki.

W parę miesięcy po rozpoczęciu roku szkolnego przybył do Kielc wizytator Sztender, członek rady wychowania publicznego z Warszawy. W ciągu tygodnia, od 8 do 13 listopada, prowadził forsownie egzaminowanie wszystkich klas, przeważnie wieczorami do późna w noc. Takie niezwykle zarządzenie wywoływało wśród uczniów przemęczonych pracą całodzienną nastrój bardzo przykry i rodzaj paniki wobec trudności wysłownienia się w obcym języku wykładowym. Mimo to w protokóle swej wizyty Sztender zaznaczył wogóle dobre postępy uczniów w naukach. A mianowicie jak pisze tam ów wizytator: „W szkole realnej kieleckiej znalazłem klasy nazbyt liczne: w klasie I-ej 106 uczniów, w kl. II 100, w kl. III 98, w kl. IV 79, w kl. V 77, w kl. VI 33, ogółem 493 uczniów (t. j. bez mała 500). Pomimo tak znacznej liczby, wymagającej niezwyklej i ciągłej pracy ze strony inspektora i nauczycieli zakładu, zwłaszcza w klasach niższych, i sprawiającej prawie niepokonane trudności pomyślnego wykładu nauk, mogę otwarcie powiedzieć, przejęty szacunkiem dla tak uczciwych i szlachetnych usiłowań, jakie się okazały w ciągu ścisłego egzaminu — że i nauczyciele i uczniowie wyszli z chwałą z tej walki umysłowych usiłowań, biorąc w rachubę i to, że egzamin odbywał się w pierwszej połowie roku szkolnego. Rozumie się, że nie mogły przemknąć się przede mną i niektóre słabe strony nieodłączne od wykładu w tak licznych klasach, lecz wszędzie spotkałem tę główną szczerą gorliwość, z jaką zwierchność i nauczyciele starają się o usunięcie zauważonych przeze mnie braków, co bezwątpienia uda im się osiągnąć w końcu roku szkolnego. Postępy uczniów wogóle były bardzo dobre. Sprawowanie się uczniów (wedle opinji wizytatorskiej Sztendera) wogólności wzorowe, o czem przekonałem się z księgi kar i kontrol, które się znajdują na stancjach

uczniowskich. Nieznaczne dziecinne swawole, a niekiedy opie-
szczość w niższych klasach, ściągały na siebie ojcowskie
ukaranie“.

Owo „ojcowskie ukaranie“ za mego pobytu w Szkole re-
alnej kieleckiej, polegało niestety zbyt często na tak zwanej
chłości cielesnej różgami czyli miotełkami brzożowemi. Egze-
kucja taka czyniła nad wyraz przykre wrażenie nawet na kole-
gach winowajców ukaranych. Zwłaszcza też na młodzieńcach,
którzy w delikatniejszym wychowaniu domowym rodzicielskiem,
lub w lepszych szkołach (jak zakład prywatny Hillera) nie przy-
wykli do tego rodzaju barbarzyńskich środków pedagogicznych.

Brutalność owa wywoływała też niekiedy ze strony kara-
nych również brutalny opór. Krążyły o tem w naszej Szkole całe
legendy opowiadane przez dawnych wiarusów szkolnych młod-
szym „frycom“ czyli tak zw. „frajerom“.

Jedna z takich legend dotyczyła trzech braci Koberzyckich,
dawnych uczniów szkoły kieleckiej ze wsi Ludwini z Włoszczow-
skiego, wielkich siłaczy, którzy zasiadali każdy w innej klasie.
Gdy jednego wzywano dla wymierzenia mu chłosty w kancelarji
szkolnej — natychmiast dwaj bracia byli o tem zawiadomiani
przez czuwających nad wszystkim kolegów, i śpieszyli copre-
dziej na pomoc bratu. Wpadali do kancelarji, wyrzucali różgi za
okno. Woźnych czyli tak zw. dziad'ków wypychali za drzwi.
A brata pod osłoną swych tęgich pięści wyprowadzali na spa-
cer — zapowiadając dyrektorowi: aby nie ważył się znęcać nad
niewinnym. Wobec takiej porażki dyrektor przeczekał raz do
najbliższego dnia targowego. Najął sześciu tęgich chłopów ze
wsi do pomocy w chłości. Kazał dwom woźnym przyprowa-
dzić z klasy do kancelarji najprzód najmłodszego Koberzyckiego.
Wkrótce uwiadomieni o tem dwaj bracia starsi wpadają do
kancelarji, odpychają na bok przerażonych wieśniaków. Najstar-
szy brat chwytając za nogę stół kancelaryjny, zwała z niego na
ziemię kałamarze i szpargały, wywija nim młyńca nad głowami
obecnych. Dwaj bracia młodszy tak samo łapią za nogi stołki
drewniane, i wymachując niemi nad wystrasżonymi chłopami,
wychodzą z tryumfem na korytarz szkolny. Było to podczas
pauzy. Więc wszyscy koledzy stają gromadnie z podziwem dla
bohaterów i obrońców ich nietykalności. Koberzyccy druzgoczą
stołki i stół kancelaryjny na kamiennej posadzce, żegnają kole-
gów i opuszczają macoszą szkołę dobrowolnie nazawsze.

Tak mi opowiadali starsi koledzy o tej tragikomicznej
przygodzie trzech braci, stojących dzielnie w obronie wzajemnej
każdy za wszystkich i wszyscy za każdego przeciw barbarzyń-
skim chłostom...

Życie uczniowskie na t. zw. „stancjach“, kolegów mniej
szczęśliwych, nie mających domów rodzicielskich w mieście,
wybornie opisał i scharakteryzował w powieści pamiątkowej

Adolf Dygasiński, który właśnie w r. 1850 ukończył Szkołę realną kielecką, gdy ja do niej wstąpiłem. Powieść ta wyszła w druku dopiero w r. 1899, jako dodatek do warszawskiej „Gazety polskiej” p. t. „W Kielcach — opowiadania i uwagi o czasach szkolnych”, z dedykacją autora: „Profesorom i kolegom Kielczanom poświęcam te wspomnienia” (format 8-ki, str. 157).

Po pierwszym kwartale roku szkolnego 1860/61 i wydaniu tak zw. cenzur, inspektor Formiński, po Świętach bożego narodzenia i nowym roku 1861, czytał w klasach listę uczniów według stopni otrzymanych z nauk, i usadzał ich w odpowiednim do tego porządku. Uczniowie najlepsi zajmowali pierwsze ławy, gorsi dalsze, najgorsi ostatnie. W klasie IV-tej, do której wówczas należałem, pierwszym uczniem czyli prymusem był kolega Dukwicz bardzo zdolny matematyk *). Drugim Jeleński Jan (wielki nabożniś) później w Warszawie wydawca i redaktor tygodnika klerykalno-antysemickiego „Rola”). Ja zajmowałem trzecie miejsce wpośrodku ławy pierwszej, tak jak poprzednio według alfabetu nazwisk. Za mną dalsi koledzy poważniejsi i pilniejsi w naukach. Naprzeciw naszej pierwszej ławy, jak to już poprzednio zaznaczyłem, stała duża tablica na stalugach, nalewo od niej były drzwi wchodowe klasy; obok nich katedra nauczycielska. Wobec tego pierwsi uczniowie mogli najlepiej korzystać z wykładów, objaśnień i rysunków kredowych na tablicy szkolnej. W gorszym położeniu byli koledzy siedzący w ławach dalszych, mianowicie też ostatnich dość odległych od katedry i tablicy. Tam bowiem różni figlarze psotnicy i leniuchy gawędzili między sobą, czytali pod ławkami romanse, zajadali łakocie, szturgali się lub dawali bolesne psztyczki w uszy kolegom przed nimi siedzącym. Tam na końcu sali klasowej w tak zwanych „oślich ławach” było główne ognisko hałasów i niesforności. Z ostatnich owych ław, po dwuletniem odsiadaniu ich bez promocji, opuszczali szkołę mniej zdolni i leniwi nieucy, mając się jakichbądź zajęć biurowych, lub próbując szczęścia w sąsiednim Seminarjum duchownem, jeśli się im udało zdać jako tako egzamin wstępny.

Przeciwnieństwo z tym pośladem szkolnym i plewami, stanowili uczniowie uzdolnieni wyjątkowo, którzy mimo złych warunków pedagogicznych własną pracą gorliwą i samodzielnością wybijali się na wierzch i stanowili z czasem chlubę uczelni kieleckiej. Za moich czasów między innymi ukończyli Szkołę realną w Kielcach: w r. 1860 Adolf Dygasiński, później autor i powieściopisarz; Antoni Ślosarski, potem po przejściu Szkoły głównej warszawskiej znakomity zoolog i osteolog. Dalej

*) Kolega Dukwicz, aresztowany podczas powstania 1863 r., został później inżynierem, i otrzymał posesję na kolei w Krakowie: w dniu objęcia urzędowania poniósł śmierć pod kołami lokomotywy niespodziewanie cofniętej.

w r. 1861 Grudziński Stanisław poeta i Andrzej Świętochowski geograf. W r. 1862 Godlewski Mściśław, później publicysta i redaktor dziennika politycznego „Słowo“, oraz dwutygodnika społecznego „Niwa“. W roku szkolnym 1862/3 kolegowałem w klasie VI-tej z Aleksandrem Głowackim, później pisarzem znakomitym głośnym Bolesławem Prusem, którego starszy brat był podówczas w Szkole realnej kieleckiej nauczycielem historii Polski; w następnym roku obaj bracia przenieśli się do Lublina, gdzie Prus ukończył gimnazjum jako zdolny matematyk. Walery Przyborowski, znany dziejopis ostatniego powstania polskiego i jego uczestnik, był także moim kolegą w Kielcach od I-ej klasy w zakładzie Hillera, a potem w Szkole realnej. Ci i wielu innych jeszcze zdolnych i dzielnych obywateli wiejskich, rolników, techników, nauczycieli, prawników i t. p. wyszło ze szkół kieleckich za moich czasów. Z tego wszystkiego widać, że pomimo lichej uprawy szkolnej i gleby średniej — dobre ziarna wydały piękne kłosy.

Dla mnie w szkołach średnich położenie było o tyle gorsze, iż trafiałem na częste zmiany pedagogiczne. Na szczęście, co najważniejsza, początki miałem fundamentalne po spokojnym i gruntownym przejściu pierwszych klas 4-rech w Zakładzie prywatnym Hillera, z doskonałym systemem nauki języków, zwłaszcza nowożytnych. Fatalne było przejście ponowne przez klasę IV-tą zrusyfikowanej Szkoły realnej, ale że to było powtórzenie tej samej klasy, więc ostatecznie szkoda była nieznaczna. Wkrótce też potem szeroka reforma szkół krajowych owo złe naprawiła sownie.

Echa warszawskich manifestacji patriotycznych i zaburzeń kwietniowych 1861 roku, żałoba narodowa i agitacje polityczne rozlewały się wokół szerokimi falami i na prowincję. W Kielcach, podobnie jak wszędzie wówczas, wywoływało to stopniowo coraz większe wrzenie i objawy analogiczne. Łatwo zapalna młodzież, pomimo hamowania przez władze szkolne, ulegała tem bardziej owym wpływom. Śpiewała pieśni patriotyczne na nabożeństwach kościelnych, nosiła emblematy narodowe mniej lub więcej jawnie, zajmowała się żywo wieściami o wydarzeniach warszawskich, o wielkich manifestacjach obchodu październikowego rocznicy Unji litewskiej w Horodle i t. p.

Wypadki społeczno-narodowe i polityczne 1861 roku, oraz przeobrażenia w wewnętrznym zarządzie Królestwa polskiego, otworzyły młodzieży naszej widoki na przyszłość pomyślniejsze i rozleglejsze. Pomijając refleksje nad przyczynami i początkiem ówczesnego ruchu narodowego i objawów należących do dziejów politycznych owej epoki, a rozpatrując tylko reformy edukacyjne, kolega mój z wydziału prawnego mecenas Aleksander Kraushar w pięknej pracy p. n. „Siedmiolecie Szkoły głównej warszawskiej“ (wydanej w Warszawie w r. 1883) wyjaśnia ge-

nezę owych reform szkolnictwa w sposób następujący: Odpowiedzią na adres przedstawiony cesarzowi Aleksandrowi II, za pośrednictwem namiestnika Gorczakowa, był list cesarski z dnia 9 marca 1861 r., temuż namiestnikowi przesłany, a jednocześnie, zapowiedź reform w wychowaniu i administracji Królestwa polskiego.

Znosząc przedewszystkiem dotychczasowy Okręg naukowy warszawski i wydział duchowny Komisji rządowej spraw wewnętrznych, przywrócono w ich miejsce Komisję rządową wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Postanowiono też ogólną reformę szkół i utworzenie wyższych zakładów naukowych. Jednocześnie nastąpiła nominacja dyrektora głównego Komisji wyznań i oświecenia publicznego w osobie Aleksandra hr. Wielopolskiego margr. Gonzaga Myszkowskiego.

Za inicjatywą i pod energicznym kierunkiem Wielopolskiego dojrzewały szybko prace przygotowawcze około reformy i organizacji wychowania w Królestwie polkiem. Poddana pod dyskusję publiczną w październiku 1861 r. nowa „Ustawa szkolna” stała się przedmiotem wyczerpujących rozbiórów w dziennikarstwie krajowem. Wszyscy niemal ówczesni mężowie nauki i doświadczenia przyjęli udział w rozprawach nad tą najważniejszą dla przyszłości kraju sprawą, a opinie ich wydrukowane w urzędowym „Dzienniku powszechnym”, bądź w innych poważnych czasopismach polskich, w drobnych tylko szczegółach ze sobą niezgodne, w sprawie ogólnego kierunku edukacyjnego oświadczyły się jednomyślnie za kierunkiem humanitarnym. Na posiedzeniu przywróconej Rady stanu Królestwa polskiego, z dnia 13 listopada 1861 r. odczytano obszerny „Powody do projektu organizacji zakładów naukowych” w Królestwie, który to projekt sankcję władzy następnie uzyskał.

Ludzie trzeźwo oceniający ówczesne położenie kraju i środki jakimi mógł rozporządzać, upatrywali zbawienie w przygotowaniu działaczy na drodze cichej pracy organicznej, pracy nad zabliznianiem ran przeszłości, nad reformą stosunków wewnętrznych w administracji, sądownictwie, w stosunkach wyznaniowych i stanowych, a przedewszystkiem w wychowaniu publicznem.

W epoce ówczesnej nikt może nie nadawał się trafniej do przeprowadzenia tej sprawy nad margr. Wielopolskiego. Dla urzeczywistnienia tych zadań należało rozpocząć pracę od fundamentów, od tego co w życiu narodowem stanowi sprawę najważniejszą — od oparcia edukacji publicznej na trwałych podstawach humanitarnych. W przemowie Wielopolskiego do składu Komisji oświecenia położonym został nacisk na tak ważną sprawę wychowania publicznego, przyczem zapowiedziano też reorganizację szkół krajowych.

Projekt Ustawy o szkołach w Królestwie polkiem, przygotowany przez Komisję oświecenia wprowadzony został w życie w r. 1862, po wakacjach przedłużonych umyślnie.

Na skutek rozporządzenia Komisji rządowej wyznań i oświecenia publicznego, rok szkolny 1860/61 zakończył się wcześniej jak zwykle, bo 10 czerwca 1861, a wakacje letnie przedłużono znacznie nad normę, aż do 1 lutego 1862 r. Cztery klasy niższe Szkoły realnej kieleckiej zamienione zostały na gimnazjum filologiczne. Dwie wyższe t. j. V i VI pozostały na dawnych zasadach realnych, tylko wzmocniono w nich wykład języka i literatury polskiej do trzech godzin tygodniowo. Nazwa „Szkoły wyższej realnej“ pozostała do końca roku szkolnego 1861.

Ja ukończyłem klasę IV-tą realną pomyślnie, t. j. z promocją do klasy V-tej gimnazjalnej. Korzystając z wczesnych wakacji i wolnego czasu robiłem z ojcem lub z kolegami częste przechadzki i dalsze wycieczki w malownicze góryste okolice Kielc. Lasy i skały obfitują tam w wielkie bogactwo minerałów, flory i fauny. Przedstawiają więc bardzo wdzięczne pole do poszukiwań i badań przyrodniczych.

W owym też czasie przybył do Kielc z Warszawy młody przedsiębiorczy żyd antykwariusz Goldhar ze znacznym transportem książek. Wystawił je na sprzedaż w pokoju parterowym Hotelu europejskim Lardeli przy ulicy Dużej. Można tam było dostać przeróżne książki i broszury beletrystyczne i naukowe po bardzo tanich cenach. Korzystając z tak dobrej sposobności, nabyłem kilka podręczników przyrodniczych i popularnych dzieł naukowych obficie ilustrowanych, w przekładzie polskim, mianowicie: Mineralogię i geologję Beudanta, Botanikę Jussieugo, Zoologję z anatomję porównawczą Milne-Edwardsa, „Dziwy świata pierwotnego“ czyli wykład popularny geologii Zimmermana, „Podróż naokoła świata“ Arago, „Historję naturalną rodu ludzkiego“ Vireya, „Pogadanki o astronomji“ Steczkowskiego, „Noce“ Younga, „Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka“ Gołuchowskiego (wydane podówczas w Wilnie w r. 1861), wreszcie małą książkę kieszonkową w 16-ce „Pensées de Jean Jacques Rousseau“ w starem wydaniu genewskiem.

Młody antykwariusz warszawski wyprzedał w krótkim czasie cały zapas książek przywiezionych, tłoczącym się amatorem taniego kupna. A widocznie zrobił dobry interes, gdyż w roku następnym 1862, jeszcze przed otwarciem gimnazjum, przybył do Kielc na stałe i założył pod firmą „Michała Goldhara“ księgarnię i czytelnię przy ulicy Pocztowej na rogu ul. Małej, zaopatrzone obficie w książki szkolne, naukowe, beletrystyczne i in.

Wobec tego współzawodnictwa dawna księgarnia Możdżeńskiego (przy ulicy Dużej) starała się zaopatrzyć w większy dobór książek i odświeżyła czytelnię swoją nowościami. Sprawdzanie też czasopism warszawskich obie księgarnie zaczęły dokonywać na warunkach korzystniejszych dla swych abonentów.

Zaopatrzone obficie w nowe ulubione książki przyrodnicze, wyjechałem jak zwykle z mamą i młodszem rodzeństwem na

całe lato do dziadków naszych do Zagórza pod Miechowem, gdzie wkrótce od wuja Bogdana dostałem duży Atlas zoologiczny pięknie kolorowany.

Ojciec później dopiero, otrzymawszy urlop sądowy, wybrał się na kurację w kąpielach mineralnych do Solca i Zborowa, w odwiedziny do dziadka Karola Godeffroy.

Dnia 9 sierpnia 1861 r. urodziła się siostrzyczka Emileia, śliczna dziecina, którą zwaliśmy pieśczołliwie Milunią, i kochaliśmy bardzo jako najmłodszą i wątłą na zdrowiu.

Po powrocie ojca ze Solca do Kielc, młodszy mój braciśzek Władzio, chłopczyk 10-letni (urodzony w Stopnicy 13 lipca 1852 r.) oddany został do klasy i szkoły prywatnej Hillera. Niestety wkrótce potem wskutek zaziębnienia zachorował na płuca, i zmarł 27 grudnia 1861 r., pochowany na cmentarzu kieleckim. Boleliśmy wszyscy nad tem nieszczęściem, gdyż Władzio był chłopczykiem zdolnym, bardzo chętnym do nauki i rokował najpiękniejsze nadzieje. Na grobie jego kazał potem ojciec położyć płytę marmurową z odpowiednim napisem.

W Zagórzu wuj Bogdan, brat mamy, kierował całym gospodarstwem wiejskim na wszystkich folwarkach dzierżawionych przez dziadka i we własnej wsi Charsznicy. Dziadek Piątkowski bowiem, jako dawny znajomy i sąsiad margrabiego Wielopolskiego, za jego wpływem został mianowany gubernatorem w Radomiu na gubernię radomską, od której wówczas kielecka nie była jeszcze odłączona.

Na święta nowego roku 1862 wuj Bogdan ze swoim szwagrem wujem Zagórskim przyjechał do Kielc, skąd razem z ojcem i ze mną wyruszyliśmy wszyscy w odwiedziny do dziadka do Radomia. Tameczny pałac rządu gubernialnego przy końcu głównej ulicy Lubelskiej, z pięknym ogrodem, mieścił na parterze kancelarje i biura, a na piętrze obszerny apartament dziadka, gdzie też zajęliśmy przygotowane dla nas pokoje gościnne. W jednej z dużych sal stały tam piękne witryny, napełnione mnóstwem ciekawych okazów przyrodniczych i technologicznych z całej ówczesnej gubernji radomskiej. Szeregi minerałów, odłamków skał, skamieniałości, rud metalicznych żelaznych, miedzianych, cynkowych, ołowianych, oraz przetworów fabrycznych, górniczych i t. p., stanowiły wielce interesujący materiał do studjów naukowych przez czas mojego pobytu w Radomiu. Po kilku dniach jednak, z powodu krótkiego urlopu ojca, pożegnaliśmy dziadka, bo ojciec musiał wracać śpiesznie do Kielc, aby spełniać jak lubił terminowo swoje obowiązki sądowe, a wujowie też do gospodarstwa, dla załatwiania ważnych i pilnych interesów i rachunków noworocznych.

Powróciwszy do Kielc zostałem tam z ojcem, a mama z młodszym rodzeństwem w Zagórzu u dziadków, skąd umieściła siostrzyczkę moją Marynię w szkole zakonnicy w Imbramowicach, niedaleko Miechowa.

Korzystając z wolnego czasu przedłużonych do zimy wakacji, rozczytywałem się z zajęciem wielkiem w podręcznikach przyrodniczych, nabytych niedawno u antykwariusza Goldhara.

W długie wieczory zimowe od czasu do czasu odwiedzał ojciec ze mną dawnych znajomych. Bywaliśmy w stałe dni przyjąć: w niedziele u p. Kosickiego prezesa Trybunału cywilnego, we wtorki u p. Różyckiego prezesa dyrekcji Towarzystwa kredytowego ziemskiego. W obu tych domach prócz rodziny, t. j. synów jedynaków: Józia Kosickiego i Erazia Różyckiego, oraz ich sióstr, młodych panienek, kształcących się w domu, bywało tam na wieczorach zwykle bardzo liczne towarzystwo ze sfer arystokratyczno-klerykalnych, a także przyjezdni obywatele wiejscy, bawiący czasowo w Kielcach za interesami. W inne dni bywał ojciec ze mną u radców dyrekcji Tow. kredyt. ziemskiego, pp. Bieżyńskiego i Krosnowskiego, mieszkających razem po kawalersku w gmachu dyrekcji. Tam zwykle starsi panowie grali wieczór milczące partie taniego „wista“, a ja tymczasem przeglądałem czasopisma ilustrowane lub świeże gazety. Po skończonej partii i skromnej herbacie, wracaliśmy z ojcem po chrupiącym mroźnym śniegu do domu, idąc spać później, bo nie było potrzeby zrywać się zbyt wcześnie rano do szkoły nieczynnej. Czasem też sam odwiedzałem swoich kolegów bliżej znajomych: Feliksa Holewińskiego, Adasia Kalinkę, Zygmunta Krzyżkowskiego, synów mecenasów kieleckich; Mieczysława Mieszkowskiego syna rejenta czyli notariusza, Michasia Romiszowskiego i Eustachjusza Chronowskiego, mieszkającego podówczas u ciotki swej p. Nowackiej.

Niekiedy zachodziłem wieczorem do naszego profesora chemji Józefa Rogojskiego, człowieka zanego ale wielkiego oryginała. Podczas podróży po Stanach zjednoczonych ożenił się on z amerykanką. Przybywszy do Kielc, dwoje swych dzieci kilkoletnich synka i córeczkę wychowywał iście po amerykańsku, zostawiając im dużo swobody. Profesor Rogojski przygotowywał na wystawę powszechną do Londynu swoje wielkie tablice chemiczne poglądowe kolorowane, za które potem dostał złoty medal. Do wykończenia tych tablic zapraszał swych uczniów i mnie też, ponieważ umiałem dobrze rysować i ładnie pisać oraz kolorować. Po skromnej herbacie wieczornej, zabieraliśmy się z profesorem do roboty. Tymczasem dzieciaki chłopiec i dziewczynka gonili się po wszystkich pokojach całym nago; gdy się nabiegali do syta i zmęczeni szli spać. My korzystając z ciszy wykończyliśmy naszą robotę.

W szkole również profesor Rogojski zostawiał uczniom zupełną swobodę. Raz na zawsze zapowiedział, że kto niema chęci słuchać jego wykładu chemji, to może sobie iść na spacer lub robić co mu się podoba, byleby się przygotował na egzamin. To też wielu tak zwanych lampartów szkolnych korzystało z tej zbytnej swobody. Szło na podworec na papierosa lub do

ogrodu publicznego naprzeciwko szkoły na całą godzinę. Natomiast koledzy gorliwsi otaczali zwartem kołem katedrę ulubionego profesora i z wyteżoną uwagą słuchali wykładu. A były to pogadanki o chemji i jej zastosowaniach praktycznych wielce ożywione i bardzo zajmujące. Urozmaicane doświadczeniami ważniejszymi, przeplatane często opowiadaniem o wielkich zakładach fabrycznych Ameryki i Anglii, które profesor nasz zwiedzał i badał gruntownie. W domu też opowiadał nam, wieczorami przy pracy, przygody swoje w podróżach wielce pouczające, lub wspomnienia z dawnych czasów szkolnych w Wiedniu, gdzie kształcił się początkowo w słynnym Terezjanum.

Drugi bardzo przyjacielski i przystępny dla uczniów był młody profesor fizyki Edward Plewiński (później wspólnik i współpracownik znakomitego zakładu optycznego w Warszawie pod firmą Berent i Plewiński). Niski, szczupły, jasny blondyn z małemi wąsikami, wesoły i uprzejmy prof. Plewiński, robił wrażenie raczej kolegi starszego niż nauczyciela i zwierzchnika. Zawsze objaśniał chętnie wątpliwości i pytania uczniów. Raz np. wyłożył bardzo zrozumiale moje zapytanie: dla czego na cieniu od drzew liściastych tworzą się kółka świetlane różnej wielkości? przyczem wykonał na tablicy kredą odpowiedni rysunek optyczny — i zarazem zaznaczył, że mam dar obserwacyjny.

U Profesora Plewińskiego stało na stacji dwóch moich kolegów: bracia rodzeni, młodszy Henryk i starszy Florjan Grubińscy. Florjan zajmował się bardzo gorliwie mechaniką i chemją. Miał całe laboratorium chemiczne dobrze zaopatrzone, mnóstwo retort, fiolek, epruwetek, podstawek, lampek spirytusowych i t. p. Robił małe wynalazki mechaniczne, z rysunkami technicznymi wykonanymi bardzo ściśle i starannie. Między innymi pokazywał nam rysunek samojazdu obmyślonego przez siebie, w rodzaju drezyny czterokołowej i t. p. Odwiedzałem czasem profesora Plewińskiego i kolegów Grubińskich chłopców uprzejmych i bardzo eleganckich. Młodszy Henryk został później artystą dramatycznym w Warszawie; starszy Florjan zajmował się dalej mechaniką i wynalazkami technicznymi.

Korzystając z łaskawego pośrednictwa mecenasa Antoniego Bronikowskiego, obrońcy Prokuratorji przy Trybunale miejscowym, przyjaciela ojca mego a także i ówczesnego naczelnika powiatu p. Zielińskiego, właściciela pięknej galerji obrazów, rzeźb, starożytności, okazów przyrodniczych i biblioteki, zwiedzaliśmy razem przy wolnym czasie te bogate zbiory. Mieściły się one wszystkie w dużym domu parterowym, w sąsiedztwie ogrodu publicznego, więzienia i Zamku kieleckiego. Zbiory te ś. p. Zieliński zapisał testamentem wspomnianemu powyżej przyjacielowi swemu Bronikowskiemu, po którego śmierci jego brat przewiózł je do Warszawy gdzie się cząstkowo rozproszyły. Część ich nabył bogaty bankjer warszawski Leopold Kronenberg,

Rozpatrywanie zbiorów przyrodniczych w galerji Zielińskiego w Kielcach, w pałacu rządu gubernialnego w Radomiu, oraz w bibliotece dziadka mego w Miechowie, liczne wycieczki w okolicach Kielc i Miechowa obfitujących w skamieniałości geologiczne różnych formacyj, rozmaitość skał i minerałów, rozczytywanie się w nabytych podręcznikach i dziełach przyrodniczych z pięknymi rysunkami i drzeworytami — rozbudziło we mnie stopniowo już od wczesnej młodości zamiłowanie natury. Często pobyt na wsi od pierwszych lat dziecięctwa w Zagórzcu pod Miechowem u dziadków, wpośród łąk kwiecistych, bujnych pól i wspaniałych lasów, przechadzki z matką, chętnie objaśniającą wszelkie moje pytania, przyczyniły się również do rozwinięcia zamiłowania owego. Już wówczas przekładałem ciszę leśną, szum sosen i jodeł, lub kąpiel w rzece wśród kwiecia w upały słoneczne — nad krępujące wizyty ceremonialne i gwarne a często nudne zebrania towarzyskie. Debatując z kolegami przyjaciółmi o przyszłym wyborze stanu podówczas, zamierzałem zostać nauczycielem nauk przyrodniczych, i wstąpić na wydział fizyczny, zakładającej się w Warszawie Szkoły głównej czyli uniwersytetu.

Wkrótce potem trafiło mi się dwóch uczniów do korepetycji. Byli to bracia Gajkiewiczze, którzy mieli wstąpić do szkoły do I klasy. Pomagałem im do złożenia egzaminu jako bezpłatny korepetytor przez czas jakiś. Matka ich wdowa zarządzała w Kielcach tak zw. „Sklepem ubogich“ z różnemi towarami, z których zysk przeznaczony był na cele dobroczynne. Panie kieleckie robiły tam swoje zakupy, a matka moja załatwiając swoje zakupy dowiedziała się o potrzebie przygotowania tych chłopczyków do egzaminu. Chętnie się wzięłem do tego, mając czas wolny w ciągu długich wakacji. Starszy Gajkiewicz Władysław, bardzo uzdolniony, został później w Warszawie doktorem medycyny i redaktorem „Gazety lekarskiej“ w latach od 1881 do 1906.

Korzystając z wolnego czasu wakacyjnego brałem lekcje rysunku krajobrazowego i perspektywy od profesora naszej Szkoły realnej Szymona Górnickiego, który przychodził do mnie na godziny przez parę miesięcy. W szkole teoria perspektywy nie była wówczas wcale wykładana. Kopjowano tylko widoczki ołówkiem lub kredkami czarną i białą z tak zwanych „wzorków“, podobnie jak ludzkie głowy i części ciała: oczy, uszy, nosy i t. p. na rajsbretach na grubym papierze rysunkowym, lub w kajetach formatu arkusowego czyli foljo. Rysunki techniczne, geometryczne robili uczniowie w kajetach zwyczajnych z tekstem, wykładów odnośnych nauk: technologii, mechaniki, fizyki, chemji, geometriji, trygonometriji, solidometriji i in.

Przedłużone wyjątkowo wakacje i przerwa w naukach szkolnych prawie trzy kwartały (od 10 czerwca 1861 do 1 lutego 1862 r.) spowodowana reformą szkolnictwa krajowego, miały

pewną dobrą stronę. Oswobodziły umysły uczniów od niewolniczej nauki i przymusowego rozkładu lekcyj przez czas dłuższy. Rozwinięły pewną samodzielność pracy, zabawy i rozrywki; pobudziły zastanawianie się nad położeniem własnym i społecznym kraju całego. Rozprawy z kolegami i osobami starszemi o zamierzonej reformie szkół, wypadki polityczne i manifestacje patriotyczne warszawskie i miejscowe ożywiły niezwykle uczucia i myśli młodzieży.

Przebywając ciągle od lat dziecięcych w domu rodziców, pod troskliwą opieką kochającej matki i wpośród rodzeństwa młodszego, małych siostrzyczek i braci, w otoczeniu rodziny dziadków i krewnych blizkich, wzrosłem w usposobieniu łagodnym i ufnym do ludzi zawsze życzliwych i dobrych. Zalecane ciągle posłuszeństwo, ugrzecznienie, uszanowanie dla starszych i ustępliwość dla młodszych, tłumilo we mnie samodzielność i zaradność własną. W domu rodziców nie potrzebowałem o nic troszczyć się i kłopotać. Zamiłowanie w pracy ułatwionej, czystości i porządku wyrobiło się we mnie pod wpływem otoczenia domowego, przykładu dobrego od starszych osób, a potem wychowania iładu szkolnego. Wpśród małych koleżków z początku nieraz musiałem znosić różne przykrości od chłopców mniej grzecznych, gburowatych, a nawet niekiedy bardzo złośliwych. W szkole nie było w zwyczaju żalić się i skarżyć, a bić w obronie własnej nie miałem chęci. Poprzestawałem więc na unikaniu psotników, a dobieierałem sobie małych przyjaciół życzliwych. I tak dawaliśmy sobie radę.

Stary ówczesny system pedagogiczny rusyfikacyjny i surowy regulamin szkoły rządowej także tłumilo samodzielność umysłową i uczuciową. Liczne gromady uczniów Szkoły realnej kieleckiej, z wszelkich warstw społecznych pochodzące, nie odznaczały się polorem towarzyskim. I tam bliższe znajomości koleżeńskie robiło się z wyborem ostrożnym, zwłaszcza w czasach żywszego ruchu politycznego.

W klasach średnich, mianowicie w IV-tej przyjaźniłem się bliżej z dwoma kolegami: Feliksem Holewińskim i Aleksandrem Bierzyńskim. Wracając po lekcjach do domu razem, zatrzymywaliśmy się często dłużej dla rozmowy o sprawach bieżących szkolnych, miejskich, krajowych i społecznych, wybiegając myślami ponad poziom codzienny szarego życia miejscowego.

W miesiącach letnich robiliśmy wycieczki bliższe i dalsze w okolice Kielc w kilku lub kilkunastu kolegów. Jeden z nich Zygmunt Krzyżkowski, ze wsi swojego ojca Bebelna, sprowadził sobie małego wierzchowca. Na pustych ugorach za Kadzielną używaliśmy na nim jazdy konnej i urządzaliśmy wyścigi piesze. Kolega Józef Troczewski pokpiwając z lichego wierzchowca, założył się, że jeżeli go nie prześcignie, to mu dorówna w biegu. Oznaczono metę wiorstową. Troczewski z początku biegł równo

z koniem, potem chwyciwszy go za ogon dobiegł razem do do mety i wygrał zakład.

W dużym stawie za górą Kadzielnią, na folwarczku Pako-
szu, w cieniu drzew wyniosłych, używaliśmy orzeźwiającej
kąpieli.

Zimą zśliśmy gromadnie za miasto staczać boje zacięte śnie-
gulami, podzieleni na dwie partje przeciwne. Hartowanie owo
i ruch na wolnem powietrzu przydatne były niemało wobec
niehygienicznych sal szkolnych, źle opalanych i niewentyla-
wanych.

Przez długą przerwę 9-miesięczną szkoła kielecka, jakby
młyn zatrzymany w ruchu dla naprawy, wśród ciszy pozwala-
jącej rozpatrywać się wokoło, dawała możność wnikania w siebie,
wybiegania myślą w przyszłość bliższą i dalszą. Dłuższy wypo-
czynek fizyczny i psychiczny pozwalał odetchnąć głębiej, rozpa-
trzeć szerzej, czytać i pracować swobodniej i samodzielniej.
Wyjątkowo długie owe wakacje r. 1861/2 nie były wcale stratą
czasu dla uczniów chcących i umiejących pracować gorli-
wie. Terminu rozpoczęcia nauk w nowej szkole oczekiwaliśmy
jednak z upragnieniem. Wreszcie nadszedł. Od 1 do 10 lutego
naznaczono i ogłoszono zapis uczniów do gimnazjum filologicz-
nego, utworzonego z dawnej szkoły realnej. Opłata szkolna zo-
stała zwiększona prawie w dwójnasób i wynosiła półrocznie
rubli 7 kopiejek 50. Ja na zasadzie promocji z klasy IV-tej za-
pisałem się do klasy V-tej.

Sala wykładowa tej klasy mieściła się w tym samym gmā-
chu co dawniej, na dole od frontu czyli od ulicy Krakowskiej,
z dwoma oknami od strony zachodnio-południowej, z wejściem
z korytarza na prawo od sieni głównej. Katedra nauczycielska
na lewo od drzwi, tablica na prawo przy piecu. I tu jak zwykle
zasiadałem w pierwszej ławie z lepszymi uczniami, co zawsze
pozawalało korzystać snadniej z wykładów.

Krom przywrócenia języka polskiego jako wykładowego,
najważniejszą korzyścią reformy szkolnej było przybycie kilku
nowych doskonałych nauczycieli: Romana Buczyńskiego do wy-
kładu języka polskiego i literatury, Głowackiego (brata Boles-
ława Prusa) do historii polskiej, a zwłaszcza wielce wymow-
nego i gorliwego profesora Szmidla do historii powszechnej.

Według nowej Ustawy szkolnej nauczyciele gimnazjum kie-
leckiego wybrali na prefekta tegoż profesora Szmidla, w miejsce
księdza Brudzyńskiego, który pozostał nadal nauczycielem religji
i historii kościoła. Wskutek tego profesor Szmidel zajął w szkole
poważne stanowisko, jako pomocnik i zastępca dyrektora gim-
nazjum, którym pozostał Formiński dawny inspektor Szkoły re-
alnej. W ten sposób gimnazjum przybrało charakter mniej kler-
rykalny, a nauczyciele byli całkiem niezależni od byłego księdza
prefekta.

Wykłady profesora Szmidla historii powszechnej wypowiedziane z pamięci z wielkiem ożywieniem, budziły w uczniach ogromne zajęcie i niezwykle zainteresowanie. Profesor Szmidel zalecił obok wykładu swego jako podręcznik pomocniczy przekład polski dzieła d-ra Jerzego Webera p. t. „Dzieje powszechne ze względu na oświatę, piśmiennictwo i religję, na język polski przełożone, a w rzeczach słowiańskich do potrzeb narodowych zastosowane przez Zarańskiego i Żywickiego“ (w dwóch tomach wydanych we Lwowie drukiem i nakładem Winiarza w r. 1851 — 1855). Historia Webera pisana w duchu naówczas bardzo liberalnym i wolnomyślnym, podobnie jak i sam wykład profesora Szmidla, wywarły silny wpływ na umysły i sposób myślenia mój i wielu moich kolegów. Obok wykładów nauk przyrodniczych dzieje powszechne budziły w nas największe zajęcie. Niezwłocznie też zakupiliśmy sobie dzieło Webera w nowej księgarni, która je umyślnie, obok innych książek szkolnych, wkrótce sprowadziła.

W dziele Webera rozwój umysłowości, literatury, pojęć i urządzeń religijnych traktowany jest gruntownie choć treściwie i w duchu wolnomyślnym. Podobnież stosunki owe przedstawiał prof. Szmidel w swoim wykładzie historii powszechnej, mianowicie też początki czasów nowożytnych, wielkiej reformacji religijnej Lutera i t. p. To też nieraz zachodziły duże sprzeczności między jego świetnym wykładem a suchą nauką historii kościoła katolickiego księdza Brudzińskiego, który herezje religijne i heretyków najczarniejszemi malował barwami dość naiwnie, czytając monotonna ze swego kajetu. Chcąc np. zochydzic Mahometanizm i jego proroka, zaznaczał, że „Mahomet urodził się z ojca poganina i matki żydówki“ — a o Lutrze mówił, że „herezyk ten lubił przy obiedzie prowadzić rozmowy bardzo nieprzyzwoite“... Sprzeczności w wykładach dziejów powszechnych i historii kościelnej zbiegały się niekiedy w jednym dniu w godzinach następujących po sobie bezpośrednio, i tem bardziej były uderzające. Budziły też u wielu uczniów samodzielniejszych krytycyzm i wytwarzały poglądy wolnomyślne. Było to niezwykłą nowością w mieście tak klerykalnem i ortodoksyjnem jak Kielce, gdzie przy licznej kapitule katedralnej i seminarjum duchownem, nabożeństwa i msze, nietylko w dnie świąteczne lecz i w powszednie, odbywały się od świtu do południa, i po południu nawet jako nieszpory, prawie nieustannie, przez licznych księży, kleryków, bractwa kościelne i mnogie dewotki. Dewocja w sferach t. zw. arystokratycznych miejscowych należała do dobrego tonu. Lud zaś prosty szedł za przykładem danym z góry. Plotkarzom i próżniakom wszelakim częste chodzenie i przesiadywanie bezczynne w kościołach bardzo się podobało. Były nasz ksiądz prefekt pilnował też baczenie, aby wszyscy uczniowie regularnie codzień latem i zimą bywali na mszy szkolnej w kościele seminaryjnym, i modlili się koniecznie

z książek. Gdy od ołtarza zauważył raz, że kolega mój Feliks Holewiński stoi podczas mszy bez książki nabożnej w rękę, ksiądz Brudziński zrobił z tego sprawę iście skandaliczną. Wezwał kolegi ojca mecenasa Holewińskiego do kancelarii szkolnej i zagroził wydaleniem jego syna ze szkoły. Tylko wdanie się innych nauczycieli w tę sprawę załagodziło zatarg w ten sposób, że kolega musiał tegoż dnia kupić zaraz książkę nabożną i modlić się z niej codziennie podczas mszy. Takie czytanie przez rok cały, dzień w dzień jednych i tych samych dość płytkich modlitw w kółko, było niezmiernie nużącym i poprostu nudnym. Niektórzy uczniowie dla formy tylko trzymali przed sobą otwarte książki nabożne. Klasy młodsze tak jak i dawniej zajmowały cały nieduży kościół św. Trójcy stojąc; klasy wyższe siedziały w ławkach po obu stronach pod ścianami, nieco w mroku zwłaszcza w dnie pochmurne. Niejeden niewyspany, wstawszy o świcie zdrzemnął się też nad swoją książeczką nabożną, lub patrzył w nią obłudnie, myśląc o czym innym...

Aby uniknąć tych przykrych następstw urzędowego nabożeństwa przymusowego, kazałem sobie nabyte niedawno w księgarni „Pensées de Jean Jacques Rousseau“*) oprawić ładnie w czerwone płótno ze złożonemi brzegami, i nikomu nic o tem nie mówiąc, czytywałem je z wielkiem zajęciem podczas nabożeństwa. Wieczorami zaś w domu przy wolnym czasie wertowałem po wielekroć z ogromnem zainteresowaniem rozdziały „Dziejów powszechnych“ Webera traktujące o „Wiekach reformacji“, a zwłaszcza o „Wielkiej rewolucji francuskiej“. Tak to zbytni przymus szkolny ortodoksji kościelnej wywoływał tem większą reakcję swobody duchowej, im bardziej surowo był stosowany...

Patetyczny poemat „Noce“ Young'a, pisarza angielskiego z XVIII wieku, w przekładzie polskim (z oryginału p. t. „The complaint or Night-thoughts“ wydanego w r. 1741) czytywałem zwykle wieczorami już w łóżku, i zasypiałem znużony mglistemi wywodami autora. Stary myśliciel angielski Edward Young (ur. 1681 zm. 1765 r.) w dziele tem moralizował o śmierci i nieśmiertelności, o wątłych siłach człowieka i znikomości rzeczy ludzkich, w formie wnioskowej wprawdzie, lecz wywody takie były zbyt sprzeczne z nastrojem młodzieńczym, rwącym się do życia takiego jak ja czytelnika...

Podobnież i „Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka“ Józefa Gołuchowskiego (świeżo wydane podówczas w r. 1861) pokrewne w swych mglistych wywodach z filozoficznym systemem deistycznym Schelling'a, zaraz po przeczytaniu rozwiewały się bez głębszego wrażenia.

*) Dzieła Rousseau, zakazane dekretemi S. Officii z roku 1762, 1766, 1767 i 1806, wniesione zostały do rzymskiego „Index librorum prohibitorum“.

Wprost przeciwnie dzieła historyczne, a zwłaszcza przyrodnicze, realistyczne, jak: „Pamiętniki“ Jana Chryzostoma Paska, „Podróże“ Arago, „Historja naturalna rodu ludzkiego“ Vireya, „Pogadanki o astronomji“, „Dziwy świata pierwotnego“ Zimmermanna o geologicznym rozwoju ziemi, w których się rozczytywałem z wielkiem zajęciem, w połączeniu z własnymi spostrzeżeniami i zamilowaniem przyrody, przyczyniały się zwolna do wytwarzania własnego światopoglądu, przeważnie materialistycznego, obok najbardziej idealnych uczuć rodzinnych, opartych na dotychczasowym mojem wychowaniu domowym, i obok silnie budzących się pragnień poświęcenia się w przyszłości wzniosłym zadaniom społecznym...

Niedawno rozpoczęta walka Włoch o niepodległość, świeże wypadki współczesne krajowe i manifestacje patriotyczne, czytanie dzienników politycznych warszawskich, rozmowy z młodymi przyjaciółmi kolegami o sprawach bieżących narodowych, rozwijały w nas świadomość coraz większą zadań i dążeń politycznych.

Ogromny rozgłos i zajęcie obudziła w owym czasie słynna powieść Wiktora Hugo „Nędzarze“ w r. 1862 tłumaczona na rozliczne języki całego świata. W języku polskim ukazały się jednocześnie jej dwa przekłady: Sulickiego i Fałęckiego, wywołując głośny spór wydawniczo-współzawodniczy. Odcinki dzienników obejmujących owo arcydzieło i tomy wydania książkowego rozchwytywane były przez publiczność warszawską i prowincjonalną. Kolega mój Feliks Holewiński pożyczał mi tomy „Nędzarzy“ z warunkiem przeczytania i zwrotu każdego w jednym dniu. Pochłaniałem je gorączkowo, rozglądając się w niedrzynanych dotąd widnokręgach i głębiach życia proletariatu. Nadeszły właśnie w naszym gimnazjum tak zwane rekolekcje, czyli przygotowanie do spowiedzi wielkanocnej. W największej sali klasowej zasiedli wszyscy uczniowie. Jeden z księży profesorów seminarjum głosem monotonnym i sennym czytał rozmyślenia pobożne. Z rana dostałem od kolegi nowy tom „Nędzarzy“, który późnym wieczorem miałem oddać koniecznie. Wśród natłoku w ławkach zsunąłem się na podłogę pod oknem, i na rozłożonym płaszczu leżąc, jałem wertować Hugona. Przy drugim oknie w głębi sali, patrzę, trzech starszych koleżków, tak samo leżąc na paltach na podłodze, gra zawzięcie w karty. Ano, pomyślałem, tym widać też pilno ograć się! — Mimo śpiesznego czytania raz tylko jeden „Nędzarzy“, tak dawno do dziś po latach przeszło 50-ciu (od r. 1862 do 1916 gdy to piszę) wszystkie główne postacie tej wspaniałej powieści jak żywe snują się w mej wyobraźni, z ich całą potężną plastyką. I to wielkie arcydzieło literatury nowożytnej, wkrótce po wyjściu z druku oryginału, czujna cenzura papieska wniosła imiennie na „Index librorum prohibitorum“, na str. 160 wydania Leona XIII z r. 1911, obok „Notre-Dame de Paris“. Skutek tego był taki

sam, jakby kto przetakiem usiłował powstrzymać bieg wielkiej rzeki. A ironja wolnej myśli chciała, by młodzi gimnaziści czytali owe zakazane dzieła podczas rekolekcyj pod ławą. „Spiritus flat ubi vult!”

Obok owego ożywionego ruchu umysłowego po zreformowaniu gimnazjum kieleckiego, wzrastał się coraz bardziej ruch patriotyczny. Śpiewy narodowe na nabożeństwach kościelnych i procesjach, manifestacje warszawskie, wzrastające szeroko czytelnictwo dzienników politycznych, wszystko to zwiastowało zbliżającą się burzę...

Z reformą szkół zmieniono też umundurowanie uczniów. Dawny tużurek czarny z kołnierzem czerwonym zastąpił surdut granatowy, czyli ciemno-niebieski, zapinany na jeden rząd guzików. Do tego spodnie szare, czarne lub białe dowolnie. Płaszcz lub palto w formie szyneli, ze spięciem z tyłu i granatowemi patkami na kołnierzu z guzikami metalowemi posrebrzanemi. Wreszcie tak zwane kepi francuskie też granatowe, z białą wypustką i daszkiem płaskim, uzupełniało ówczesny uniform uczniowski w barwach narodowych.

Klasa V-ta, do której należałem jako 15-letni chłopiec, w roku 1862 liczyła niespełna 60 uczniów. Przy nowych nauczycielach nauka szła raźniej. Nastrój w szkole panował ohochoy i swobodniejszy, wiosna była w rozkwicie.

Mieszkaliśmy z rodzicami zawsze przy ulicy Dużej, na I piętrze w domu przechodnim. Wejście główne stanowił tam długi korytarz mroczny. W półcieniu tym wracając raz z lekcji ujrzałem zjawisko urocze. Młoda dziewczyna śliczna czarno-włosa, w białej sukience, w kapelusiku słomkowym pasterskim, wychodziła zwolna z książkami w ręku. Przystanąłem robiąc jej wolne przejście. Oczy jej błyszczały w cieniu jak gwiazdy, łagodny uśmiech okalał usta. Spojrzenia nasze spotkały się. Pierwsza miłość zajaśniała mi. Wkrótce dowiedziałem się, że panienka ta była moją sąsiadką, pensjonarką zamieszkałą od niedawna z swoją matką w tym samym domu, na parterze od strony ulicy Małej. Okna ich mieszkania były pełne różnobarwnych kwiatów. Wracałem koło nich umyślnie, by czasem wśród zasłon ujrzeć piękną główkę sąsiadki. Ojciec mój znał te panie, ale u nich nie bywaliśmy. Wkrótce potem wychodząc z ojcem raz z teatru spotkaliśmy nasze sąsiadki. Po przywitaniu i przedstawieniu się wracaliśmy razem do domu. Noc była pogodna ciepła, niebo błyszczało gwiazdami. Ja towarzyszyłem panience. Mówiłem coś o jej pięknych kwiatkach, o gwiazdach, o oczach jako gwiazdy patrzących, o pierwszym spotkaniu naszym i spojrzeniu czarownem... Moja młoda towarzyszka na to wszystko wybuchnęła srebrzystym śmiechem, przerywając: „Ach jaki pan dziecinny! Wszystko to bardzo ładne, ale ja mam już narzeczonego, który jest urzędnikiem, i mama wkrótce wydaje mnie za mąż. Więc...

niech pan sobie nie zaprzęta głowy napróżno fantazjami! I tak niespodzianie zerwana została złota struna pierwszej mojej miłości studenckiej. Trochę marzeń młodzieńczych, rozczarowanie i wreszcie zapomnienie. Na drugi dzień potem, w szkole w chórze kolegów śpiewałem gromko z pieśni Mazepy zwrotkę:

Każda piękna dla mnie równa,
Czy wieśniaczka czy królewna!

I znów niezadługo w publicznym ogrodzie miejskim, siedząc z książką w alei cienistej, ujrzałem młodziutką śliczną dziewczynę jasnowłosą, w białej sukience w kapelusiku białym z różami, z pękiem kwiatów polnych w ręku. Wysmukła, wiotka, szła lekko z moim kolegą szkolnym. Prowadzili oboje ożywioną rozmowę. Gdy winszowałem koledze później rozkosznej znajomości, machnął ręką mówiąc: „Cóż z tego, ona ma rok 16-ty i wkrótce wychodzi za mąż za bogatego obywatela wiejskiego. Gdy jej zacząłem mówić o miłości, powiedziała mi żebym pilnował książki! Mieszka z matką w domu mojego ojca, więc często spotykamy się; dobre i to. Mój kolego! my mamy też rok 16-ty, więc niema co zaprzętać sobie głowy temi marzeniami“.

Kolega ten w chórze klasowym razem ze mną i z innymi jeszcze bardziej gromko śpiewał pieśń Mazepy:

Każda piękna dla mnie równa,
Czy wieśniaczka czy królewna!

Albo też nuciliśmy razem pianissimo pieśń perską:

Nie trwóście się gdy serce drży,
Bo to miłości drżenie —
A miłość jest jako kwiat,
Dziś kwitnie — jutro schnie...

W bogatej galerji obrazów w pałacyku naczelnika powiatu Zielińskiego, w salonie głównym, na mozajkowym stole środkowym, na płycie owalnej z ciemnego marmuru spoczywała alabastrowa statua „Bachantki śpiącej“ (1/4 wielkości naturalnej). Głównka jej o rozrzuconych w nieładzie kędziorach, wsparta była na lewej ręce; usteczka napół otwarte tchnęły sennym uśmiechem. W ręce prawej, w bok odrzuconej, trzymała winogrono. Nogi i kolana rozchylone odsłaniały tajniki boskiego łona, zakończonego piersią wypukłą. Całość pełna życia i prawdy realnej...

Młodsze rodzeństwo moje miało milutką bonę, modrooką szatynkę, o bujnych kędziorach popielatego odcienia, wysmukłą, o pulchnych kształtach i wdzięcznych ruchach. Wypadek zdarzył, że w dzień lipcowy, upalny, wybierając się na przechadzkę poranną, wstałem o świcie, a dla nabrania w dzban wody do

mycia, musiałem przejść przez pokoik sypialny tego pięknego dziewczęcia. Spała snem twardym, z odrzuconem przykryciem w białej rozpiętej koszuli, w pozie właśnie owej alabastrowej „Bachantki“. Śnieżne piersi dziewczęce poruszały się miarowym oddechem. Wargi wiśniowe rozchylone odsłaniały białe ząbki, jakby w uśmiechu rozkosznym. Nie panując nad sobą, objąłem łagodnie piękną śpiącą, i wycisnąłem pocałunek gorący na ślicznych usteczkach. Cichy okrzyk nagle zbudzonej otrzeźwił mnie z upojenia. A potem gniewne wymówki: „Jak pan śmiałeś? wyjdź stąd, bo będą krzyczeć!“

— „To byłoby nieładnie, odrzekłem, krzyczą tylko gęsi. Czyż moja wina, że jesteś tak czarująca? Przebacz mi i pozwól ucałować obie śliczne rączki...“

Obiecałem poprawę i uzyskałem łaskawe przebaczenie. Przechadzka w kwiecistą dolinę Silnicy i chłodna kąpiel w rzece uspokoiły na razie gorącą krew. Orzeźwiony wziąłem się do zwykłej pracy codziennej.

Wkrótce zaczęły się wakacje. Jak corocznie wyjechaliśmy z mamą i rodzeństwem do dziadków, do Zagórza pod Miechowem.

Ojciec mamy, a dziadek nasz, Wincenty Piątkowski, przebywał wówczas w Radomiu, gdzie urzędował jako gubernator cywilny. Brat mamy, wuj Bogdan, zastępował go w gospodarstwie wiejskiem na folwarkach dzierżawionych od rządu: Zagórz, Siedliskach i Strzeżowie, oraz w majątku własnym w Charsznicy.

Jak zwykle, wkrótce po przyjeździe na wieś, wybrałem się z wujem Bogdanem do Krakowa, gdzie prócz ubrania, drobiazgów toaletowych i najnowszych książek, zakupił wuj komplet fechtunkowy i gimnastyczny: rapiry, floretty, maski druciane, rękawice, hantle i t. p. Po powrocie na wieś rozpoczął wuj razem ze mną ćwiczenia systematyczne codzienne, według regulaminu. Dla zahartowania się sypialiśmy pod gołym niebem, na trawie wpośród drzew parku dworskiego w Zagórz, pod lekkim przykryciem; albo w polu na stogach zboża wśród mierzwy słomianej. Braliśmy też codziennie kąpiele zimne w wodospadzie przy upuście ze stawów ogrodowych. Jazdę konną odbywaliśmy forsonie na wszystkie folwarki i do dworu w Charsznicy, odległego przeszło 8 kilometrów. Czasem tam nocowaliśmy dla obejrzenia nazajutrz lasu i poręb drzewnych na folwarku Dąbrowcu, oraz połowu ryb na drugim folwarku Ludwinowie, należącym do dóbr Charsznickich. Niekiedy polowaliśmy konno z chartami na zające po świeżo zżętych łąkach. Wuj miał ładnego wierzchowca karogniadego, doskonale ujeżdżonego i ślicznego charta białego, ściętego jak wicher, zwanego „Hulaj“.

Odwiedziliśmy też parę razy siostrę mamy, ciotkę Wincentynę Zagórską w Gniazdowicach pod Proszowicami. Wujostwo

Zagórcy i liczni goście z sąsiedztwa, zwykle w dniu świątecznym, przyjeżdżali do babci naszej do Zagórza.

Wuj Bogdan wogóle nie lubił tych licznych zebrań towarzyskich, i rad ich unikał. To też zaraz po żniwach wybrał się ze mną do Charsznicy, gdzie stale gospodarował, oraz na przejażdżkę do Ojcowa i Pieskowej Skąły. Wyjechalśmy w pogodną niedzielę raniutko lekkim wózkiem, zabrawszy nieco wiktuałów na drogę i obrok dla koni. Po zwiedzeniu przed południem ruin Zamku Ojcowa, jaskini Łokietka i Ciemnej, po obiedzie wyruszyliśmy doliną Prądnika do Pieskowej Skąły.

Dziedzic i odnowiciel zamku Pieskoskańskiego hr. Mieroszewski bawił podówczas za granicą, więc tem swobodniej mogliśmy zwiedzić wszystkie komnaty. Począwszy od wspaniałej kaplicy, wielkie sale urządzone tam były bogato i świetnie przyozdobione. Liczne portrety rodzinne i obrazy dużej wartości artystycznej ożywiały wysokie ściany. W salonie głównym, zaślany puszystym dywanem, paryskie meble palisandrowe, zdobione przepiękną inkrustacją w kwiaty różnobarwne, pokryte były skórą wzorzysto wytłaczaną. Biblioteka podręczna, w baszcie okrągłej, zawierała dzieła wyborowe w pięknych wydaniach i oprawach bogatych.*)

Stary kamerdyner, oprowadziwszy nas po wszystkich komnatach, pożegnał uprzejmie, i roztworzył duże drzwi oszklone na śliczny taras kwiatowy, z którego wyszliśmy do parku na krótki odpoczynek. Z góry zamkowej zeszliśmy wygodną aleją nadół do gospody, gdzie popasały nasze konie. Późnym wieczorem powróciliśmy o chłodzie na nocleg do dworu Charsznicy.

Po tej miłej wycieczce wakacje moje skończyły się wkrótce. Pożegnawszy babcię i wujaszka Bogdana, wróciłem z mamą i młodszem rodzeństwem, jak zwykle rozstawnemi końmi do Kielc, do zajęć szkolnych.

Zaraz po powrocie, na zasadzie otrzymanej promocji z klasy V-tej, zapisałem się, i przyjęty zostałem bez egzaminu, do klasy VI-tej na rok szkolny 1862/3. Opłata wynosiła jak poprzednio 7½ rubla półrocznie czyli 100 złp. rocznie. Sala klasy VI-tej o dwóch oknach mieściła się naprzeciwko klasy V-tej, w korytarzu dolnym gimnazjum od strony podwórca. Katedra stała w kącie naprawo, tablica nalewo przy piecu, drzwi wpośrodku. Ławy w jednym rzędzie, mniej liczne, bo i uczniów coraz mniej było w klasach wyższych. Jedno okno wychodziło na północ, drugie na wschód, więc słońca i światła było mało. Izba to była dość ponura, obielona wapnem, jak wszystkie inne klasy, o ścianach przykurzonych, z podłogą zdeptaną błotem, rzadko myta.

*) Cały ten przepych iście królewski urządzenie zamku Pieskowej Skąły zniszczony został w r. 1863 przez rabunek i pożar podczas bitwy z powstańcami.

Nauczyciele byli ciż sami co w roku zeszłym. Najwięcej zajęcia budziły wykłady: literatury polskiej młodego profesora Romana Buczyńskiego, historii powszechnej prof. Szmidla, oraz historii polskiej prof. Głowackiego, brata Aleksandra późniejszego Bolesława Prusa, który wtedy był w Kielcach właśnie uczniem klasy VI-tej. Po jej ukończeniu przeniósł się on do gimnazjum lubelskiego, gdzie jego brat profesor został przetranslokowany. Języka greckiego nauczał nas prof. Kroemer dość sucho, mimo to do greki przykładałem się bardzo chętnie, odrabiając starannie zadawane przekłady na polski z ogólnych „Wypisów“ z „Odysei“ Homera, oraz ćwiczenia, z których często korzystali koledzy mniej zamiłowani w lingwistyce. Przepisywali niekiedy moje wypracowania na prędkę przed lekcjami ci mianowicie, którzy nie zdążyli ich sami w domu przygotować*). Profesor Piórek nauczał łaciny i objaśniał klasyków; tłumaczyliśmy na polski mowy Cycerona i „Enejdę“ Virgilego. Ksiądz kanonik Brudzyński, jak zawsze, wykładał naukę religii i historję kościoła w duchu ultramontańsko-klerykalnym i apologetycznym.

Administratorem dyecezyji kieleckiej był podówczas ksiądz Majerczak, niski, krępy o twarzy kanciastej czerwonej, trochę rubaszny, ze stanu włościańskiego pochodzący. Dnia 25 listopada został mianowany biskupem jerychońskim (in partibus infidelium). Konsekracja jego odbyła się uroczyście w Warszawie w katedrze św. Jana 14 grudnia 1862 r. Na ten akt uroczysty przybyli do Warszawy, prócz samego księdza Majerczaka, biskupi: kujawsko-włocławski Marszewski i sandomierski Juszyński (brat kieleckiego sędziego Juszyńskiego, ojca mego kolegi szkolnego Stanisława). Uderzającym było, że z sześciu obsadzonych w owe czasy dyecezyji, przybyło tylko dwóch biskupów, pomimo, że margrabia Wielopolski zaprosił wszystkich na ów zjazd i czynił zabiegi, aby ich pozyskać dla swoich planów politycznych w dobrze zrozumianym interesie kraju. Zwracało to powszechną uwagę, mianowicie, że biskup podlaski Benjamin, niegdyś tak ściśle związany z Wielopolskim, nie przybył do Warszawy, dając tem poznać, iż nie aprobuje postępowania margrabiego. Rząd wiedział też doskonale, że wśród duchowieństwa, szerzy się rozległa agitacja rewolucyjna, że księża należą do organizacji powstańczych, i przyjmują przysięgi od spiskowców; wiedział o zjazdach duchowieństwa, na których uznano Komitet centralny za jedyną władzę narodową**).

Przyborowski Walery (mój kolega gimnazjalny w Kielcach) jeden z historyków powstania styczniowego, jakkolwiek brał

*) Znajomość języka starogreckiego przydała mi się później i ułatwiała znacznie wyuczenie nowogreckiego, gdy w latach 1888 — 1890 przebywałem stale w Carogrodzie wpośród greków tamecznych.

**) Przyborowski Walery: „Historja sześciu miesięcy“ (Petersburg, 1901 str. 336).

w niem udział czynny, jednak bardzo krytycznie i w zbyt czarnych barwach je przedstawia. W przedmowie do swej „Historji sześciu miesięcy“ (wydanej w r. 1901 nakładem księgarni polskiej K. Grendyszyńskiego w Petersburgu) tak charakteryzuje genezę tego ruchu: „Naród, mając w ręku wszystko niemal, co mógł mieć w danych warunkach dla pomyślnego rozwoju swych sił rodzimych, w pościgu za ideałami wykarmionemi długim szeregiem nieszczęść, w pogoni za aspiracjami bardzo zapewne podniosłej natury, ale nie liczącemi się z praktyczną możliwością danej chwili — utracił wiele, i nawet zachwiał podstawami swego bytu. Historia pokazuje, jak garść ludzi nieupoważnionych do akcji politycznej ani wiekiem, ani doświadczeniem, ani nauką lub stanowiskiem społecznem, zuchwale i lekkomyślnie wzięła się do kierowania nawaą krajową, i wśród burzliwych fal dziejowych rozbiła ją na drzazgi, na szczątki niemal. Historia pokazuje jak ludzie dojrzałi, ojcowie narodu, w niepojętem niedołęstwie, pozwolili sobie wyrwać z rąk wszystkie wodze, czyli ster tej nawy, i w niemem osłupieniu patrzyli na ginący statek. I statek ten pogrążył się w otchłań nieszczęść tak wielkich, jakich przykłady rzadko w historii można napotkać. Wielka zatem nauka z tych ponurych dziejów spłynąć na nas może. Pokażą nam one, że zasada „liberum conspiro“ przez pięćdziesiąt przeszło lat stosowana u nas do żywego organizmu społecznego, doprowadza do nieszczęść i do klęsk, których skutki straszliwe na sobie odczuwamy. Nauczy nas ona, że nikt nie ma prawa samowolnie rozrządzać w tajemnicy losami narodu, że polityka społeczna jest umiejętnością, którą prowadzić należy przy jasnym dniu, na widoku wszystkich; że jak w życiu człowieka pojedynczego tak i całych narodów wielkie przeskoki, nagłe błyski szczęścia, są rzadkością, że owoc zdobywa się długim trudem, mozolnym dorobkiem z dnia na dzień. Dla tego ta praca moja jak najbardziej stanowczo potępia tych, którzy w tajnych cieniach życia społecznego wylęgli, porwali się do kierowania losami kraju; potępia także tych, którzy widzieli nieszczęście, a zapobiedz mu nie umieli; surowo wreszcie sędzi i tamtych także, którzy starali się zapobiedz nieszczęściu, ale używali do tego środków jak najgorszych i nie prowadzących do celu. Wszyscy oni stanąć muszą w charakterze obwinionych przed trybunałem dziejowym i wysłuchać wyroku, który oby nauką był dla dzisiejszych pokoleń. Wypadki powodujące przyjazd do Warszawy brata cesarskiego w. ks. Konstantego i wyniesienie mgr. Aleksandra Wielopolskiego na wysoką godność naczelnika rządu cywilnego, rozpoczęły się w r. 1861 (choć pierwotne ich źródło o wiele wcześniej odszukać się daje) szeregiem manifestacyj publicznych, które spowodowały cesarza Aleksandra II, że nadał Królestwu polskiemu szereg instytucyj zabezpieczających swobodny rozwój praw i podstaw narodowych. Przywrócono Komisję oświecenia publicznego, na której dyrektora głów-

tego powołano męża znanego z rozumu i niepospolitej inteligencji margrabiego Wielopolskiego, co było rękojmią, że wychowanie publiczne, tak głęboko dotykające najserdeczniejszych interesów krajowych, oparte będzie na zasadach swojskich i rodzimych. Ustanowiono rady miejskie i powiatowe, wszystkie urzędy sądowe i administracyjne powierzono Polakom, zajęto się załatwieniem kwestji włościańskiej. Najświetniejsza przyszłość autonomiczna przedstawiała się krajowi. — Ale istniało w społeczeństwie stronnictwo rewolucyjne, które nie chciało żadnych kompromisów, które zdecydowane było odrazu wszystko na kartę postawić, by jeszcze raz zmierzyć się z potężnym Państwem rosyjskiem. W tej myśli i w tych zamiarach partja ta, złożona przeważnie z ludzi młodych, nie przestawała wywoływać najrozmaitszych manifestacyj, a nawet zawiązała szeroki, bezprzykładowy w dziejach, spisek, na czele którego stanęło ciało mianujące się Komitetem centralnym narodowym (ciało samowładne i nie mające żadnych praw do rządzenia narodem). Powoli z dziedziny manifestacyj odcień najczerwieńszy tego stronnictwa przeszedł do zamachów politycznych, i namiestnik Królestwa, generał Lüders, został postrzelony w Ogrodzie saskim w Warszawie. W owej chwili wiedziano już w kraju, że wielki książę Konstanty, „wyjednany prośbami“ margr. Wielopolskiego, ma zająć stanowisko namiestnika w Królestwie. Strzelając więc do generała Lüdersa sądzono, że tym sposobem powstrzyma się przybycie brata cesarskiego do Warszawy, a temsamem zniszczy się zamiary stronnictwa umiarkowanego zwanego „białym“, które pragnęło teraz uspokojenia kraju, widząc w wielkim księciu najlepszą gwarancję przyszłości. Omylono się jednak. Nominacja w. ks. Konstantego na namiestnika nastąpiła 8-go czerwca 1861 r., jednocześnie z nominacją mgr. Wielopolskiego naczelnikiem rządu cywilnego. W. książę przyspieszył swój przyjazd do Warszawy, sądząc że jego dostojna osoba przyczynić się może do stłumienia ruchu i ugłaskania ryczącego lwa rewolucji“...

Szerszy opis tych wydarzeń należy do dziejów krajowych i historii. Przytoczyłem powyżej pogląd na nie mego kolegi szkolnego Walerego Przyborowskiego, gdyż rzuca on na nie charakterystyczne światło pesymistyczne. Ja tu w moich wspomnieniach ograniczyć się muszę do bliskiej mi sfery rodzinnej i szkolnej ówczesnej.

Poprzednio już zaznaczyłem jak reforma szkolna Wielopolskiego wpłynęła na podniesienie i ulepszenie znakomite Szkoły realnej kieleckiej, przekształconej na gimnazjum filologiczne. Młodzież pod wpływem ożywionych wykładów nowych nauczycieli, garnęła się ochotnie do nauki. Bardziej zapalni koledzy, ulegając agitacji politycznej i oddziaływaniu burzliwych wypadków warszawskich, brali też liczny udział głównie w śpiewach kościelnych hymnów patriotycznych, w nabożeństwach rocznic

narodowych i t. p. Dyrektor gimnazjum Formiński starał się na swój sposób mitygować te zapędy, naganiając do książki brutalnie: „Chodźcie na bekowiska owczym pędem, śpiewacie hymny zakazane, zaniedbujecie naukę dla mrzonek. Narażacie siebie i mnie na odpowiedzialność przed władzą i rządem!” wołał, grożąc chłostą agitatorom — aż mu za to, jednego wieczoru, wybito wszystkie szyby w mieszkaniu od frontu w gmachu gimnazjalnym. Struś się tem bardzo i przycichł...

Zima dość łagodna i ferje zimowe Świąt bożego narodzenia przeszły nam w ciszy złowrogiej w domu w Kielcach. Nadszedł nowy rok 1863 i dzień 22 stycznia wubuchu powstania zbrojnego.

Na drugi dzień zeszlśmy się wcześniej do klasy naszej. Szeptano pocichu. Zaczęły już krążyć ponure wieści o pierwszych starciach krwawych. Do miasta przywieziono rannych żołnierzy do szpitala wojskowego.

Pierwsza lekcja z rana miała być u nas łaciny. Wszyscy mieliśmy z sobą „Aeneis” Virgilego. Wtedy kolega Aleksander Głowacki (późniejszy Prus) zawołał: „Moi kochani, teraz nie czas na Enejdę!” obszedł kolejno ławki, zebrał wszystkie egzemplarze Virgilego w narączo na piersiach, otworzył duże drzwiczki do zimnego pieca nieopalonego, wpakował weń wszystkie „Enejdy” i zamknął z wielką powagą. Wkrótce nadszedł młody profesor łaciny Piórek, w okularach, zapisał się w dzienniku klasowym, i kazał pierwszemu z brzoza koledze czytać i tłumaczyć zadany ustęp „Enejdy”. Z końcowych ławek odezwały się głosy: „Panie profesorze, teraz nie czas na tę epopeję!” Rad nie rad profesor bierze w rękę kredę, wypisuje na tablicy kilka wierszy Horacego, tłumaczy je i komentuje. W tem nagle słychać huk wielki. Masa śniegu spadła z dachu z powodu odwilży na dolny daszek blaszany nad wejściem do piwnicy, tuż pod oknem naszej klasy. W pierwszej chwili zdawało się, że to wybuch bomby. Profesor nasz pobladł przerażony, i dla formy zakończył wykład rozpoczęty. Inne lekcje dni owych przechodziły również w roztargnieniu, w nastroju ponurym i przygnębionym, wskutek nadchodzących wieści niepomysłnych.

Z okien gimnazjum widać było liczne szeregi powstańców zabranych w lasach do niewoli. Umyślnie prowadzeni dwójkami w szerokich odstępach, by ich gromady wydawały się większe, pod strażą kozaków pędzeni nahajkami, szli biedacy przygnębieni, licho odziani, obdarci, zapewne i głodni, do przepelnionych więzień kieleckich.

Coraz smutniejsze do miasta nadchodziły wieści o zrabowanych i spalonych miasteczkach i dworach; o Wąchocku, Szydłowcu, Bodzentynie, Stupi i in. Dla utrzymania mieszkańców Kielc w postrachu załoga wojskowa wyprawiała często w nocy

niespodziane alarmy. Patrole piesze i konne przebiegały ulice z tętentem. Sygnały trębaczy i warczenie bębnow rozlegały się po mieście przerażeniem, w mniemaniu że toczy się bój krwawy, nierówny.

„W Warszawie, w głównej kwaterze powstania (mówi dziejopis „22 stycznia 1863“ *) zwątpiono czy wogóle cokolwiek będzie z tego, czy rozkazy w jakikolwiek sposób będą wykonane, i czy noc 22 stycznia, zamiast być Polski momentem dziejowym, nie będzie śmiesznością... W posępnej trwodze oczekiwano wyniku, w trwodze tem większej, że w stolicy i w sercu ruchu rewolucyjnego wyglądało wszystko podawnemu, bo wogóle przygotowań nie poczyniono żadnych. Warszawa promotor wojny, Warszawa która dała do niej hasło, która wymusiła na „Komitecie centralnym“ ogłoszenie powstania, Warszawa wreszcie najbardziej cenny dla wroga punkt w całym kraju — Warszawa zepchnęła cały ciężar wojny na drobne miasta, miasteczka, wśie nawet; sama niczem nie miała zadokumentować swej siły rewolucyjnej“.

Nadszedł luty. Jednego dnia furgon pocztowy, który jeździł z Kielc stałe przez Miechów do Michałowic czyli do granicy, wrócił wcześniej niż zwykle, przywożąc wieść złowrogą, że: Miechów się pali!

Konduktor furgonu, ujrzawszy zdala wielki pożar miasta, kazał pocztyljonowi zawrócić natychmiast do Kielc, skąd wiózł znaczne przesyłki pieniędzy. Wieść o pożarze Miechowa dotknęła nas boleśnie, bo tam w nowym domu własnym dziadka naszego Piątkowskiego w Rynku głównym, mieściła się jego piękna galerja obrazów, wielka biblioteka, zbiory starożytności, numizmatów, rękopisów dawnych i t. p., a w oficynie od strony ogrodu mieszkała nasza babka starszuszka, z siostrą mamy ciotką Eugenją Daniewską i jej małemi dziećmi.

Tworzenie oddziałów powstańczych w Krakowskiem, z polecenia warszawskiego Komitetu centralnego, poruczone zostało obywatelowi Apolinaremu Kurowskiemu, uczniowi w sztuce wojskowej Mierosławskiego. Najobszerniejszy i najdokładniejszy opis działań Kurowskiego i bitwy miechowskiej znajduje się w dziele mego kolegi szkolnego Walerego Przyborowskiego „Dzieje 1863 roku“ (w tomie I na str. 425 i nast) wydanem w Krakowie w r. 1897 w 4-ch tomach, wedle którego podaję poniżej opis tej klęski nieszczęsnej**):

Langiewicz, nazajutrz po potyczce Staszowskiej dn. 18-go lutego 1863 r., obawiając się by większe siły rosyjskie nie zwały się tutaj na niego, zwłaszcza że jeden z jego podjazdów

*) Piłsudski Józef: „22 stycznia 1863“, z cyklu „Boje polskie“ tom I str. 62 (Poznań, 1914, księgarnia nakładowa Karola Rzepeckiego).

***) Przyborowski Walery (zmarły w r. 1913 w 68 roku życia) napisał prócz tego z dziejów powstania „Historję sześciu miesięcy“ i „Historję dwóch lat“ wydana w Krakowie w r. 1895 w 5 tomach. — Na

przyjął raport Zagriażskiego do Czengierego (w Kielcach), opisujący obozowisko Staszowskie i domagający się pomocy, postanowił pozycję swą opuścić. Wiedział on przy tem o marszu Jeziorańskiego na południe kraju, o jego zamiarach atakowania Kielc; zamierzył więc z nim się połączyć i wspólnymi siły uderzyć na to miasto. Był jak najlepszych nadziei i wiary w siebie, gdy właśnie na wychodnym ze Staszowa, przyszła głucha, niepewna, hiobowa wieść o strasznej klęsce Kurowskiego w Miechowie, pokrywającej kraj żałobą, właśnie w tym samym dniu 17 lutego, w którym Langiewicz święcił swój tryumf Staszowski.

Kurowski, oczyściwszy cały południowy pas pograniczny Królestwa od Michałowic aż do Sosnowca z nieprzyjaciela, stał się samowładnym panem powiatu olkuskiego, obfitującego w bogactwa kopalniane i fabryki żelazne. Powiat ten przytykał do granicy austriackiej i pruskiej, a obozowisko główne w Ojcowie oddalone było zaledwie o parę mil od Krakowa, skąd czerpać można było zasoby w ludziach, broni i wszelkiego rodzaju sprzęcie wojennym. W rzeczy samej z Krakowa ciągnęły do Kurowskiego tłumy ochotników, złożone przeważnie z młodzieży inteligentnej i cały niemal uniwersytet Jagielloński znalazł się wkrótce w szeregach powstańczych. A był to element nieoceny pod względem wojskowym, dzięki entuzjazmowi, jaki go ożywiał. Wielu z nich wyjeżdżając z Krakowa dało sobie słowo „że żaden z nich nie da się wziąć żywcem Moskalowi“. Władze austriackie nie stawiały prawie żadnych przeszkód tłumnie wyjeżdżającym ochotnikom, zgodnie z machiawelskim poglądem Rechberga, że tym sposobem rząd pozbędzie się z Galicji gorętszych i rewolucyjnie usposobionych żywiołów. Dozwalano więc każdemu kto tylko chciał udawać się do Ojcowy, i patrzono na to przez palce. Dzięki temu oddział Kurowskiego rósł w siłę. Żywność nawet dostawiano mu z Krakowa, skąd dzień i noc ciągnęły wozy przepelnione wszelkiego rodzaju potrzebami.

zapytanie moje gdzie mieści się najobszerniejszy opis bitwy miechowskiej, otrzymałem od autora list następujący: „Radom, 10 lutego 1911 r. (ul. Spacerowa nr 5). Szanowny Kolego! Najobszerniejszy, o ile wiem, opis bitwy miechowskiej znajduje się w mojej pracy p. t. „Dzieje 1863 roku“, wydanej w Krakowie u Gebetnera. Opis ten oparty na źródłach drukowanych (jakie w czasie gdy go kreśliłem były znane, a odtąd o ile wiem prócz „Pamiętników ks. Postawki“, który był wówczas wskarjuszem w Miechowie, nie nowego nie przybyło) oraz na relacjach świadków naocznych, od których odbierałem informacje, i umyślnie w tym celu jeździłem do Miechowa, sądzę że jest najlepszy i najobszerniejszy. Mieści się w tomie I wspomnianego dzieła, str. 425 i nast. Tam też są zacytowane wszystkie źródła drukowane, z których korzystałem. Sądzę, że będąc w ciągłych jak przypuszczam stosunkach z Krakowem, łatwo tę moją pracę Sz. Kolego będziesz mógł dostać. Miło mi przy tej sposobności przesłać Ci stary mój Kolego wyrazy serdecznego pozdrowienia. (Podp.) Walery Przyborowski.

„P. S. Bardzo dziękuję za fotografię grobu poległych; gdyby się znalazły jeszcze jakie pamiątki z tej epoki proszę maie mieć na oku.“

Z Galicji przybył także głośny później Franciszek Rochebrun, francuz rodem z Delfinatu, gdzie ojciec jego był właścicielem zajazdu. Sam Rochebrun był żołnierzem z fachu, służył trzy lata w 7-mym pułku lekkim piechoty, a potem w 62-gim linjowym. W r. 1862 porzucił Francję i był jakiś czas nauczycielem prywatnym, potem założył w Krakowie szkołę fechtunkową. Z wybuchem powstania zjawił się w Ojcowie i sformował batalion „żuawów śmierci“, złożony prawie wyłącznie z młodzieży krakowskiej. Niewątpliwie odważny i waleczny, był przytem doskonałym organizatorem i bardzo dbałym o swego żołnierza. Jego żuawi w oddziale Kurowskiego byli najlepiej wyćwiczeni i uzbrojeni, co zawdzięczać należy wyłącznie staraniom Rochebruna. Reszta bowiem partji miała kosa lub nędzne dubeltówki. Kurowski ze swojej szczęśliwej pozycji, jakiej nie miał ani przedtem ani potem żaden z dowódców powstańczych, nie potrafił skorzystać należycie. Posiadając znaczne fundusze i dwie granice zupełnie wolne nie postarał się o broń, choć kupcy z pruskiego Bytomia obowiązywali mu się w niewiele dni dostawić 10.000 karabinów. Kurowski jednak umowy z nimi do skutku nie doprowadził, dla powodów niewiadomych. Na jego usprawiedliwienie to wszelako powiedzieć należy, że niewiele miał czasu na to wszystko. Nie czuł on się zdolnym do stanowiska na którym się znajdował, domagał się od tymczasowego Rządu narodowego, by przysłano do Ojcowia na dowódcę człowieka fachowego. Jak wiemy dowództwo to przeznaczone było oddawna dla pułkownika Czapskiego, ale ten siedział w Warszawie, i zdawał się wyczekiwać jaki obrót rzeczy wezmą. Poza tem Kurowski starał się zaprowadzić w obozie możliwie dobrą administrację i porządek, co mu się w części udało, a co olbrzymią przedstawiało trudność, ze względu na tę zbieraninę najróżnorodniejszych, nie mających pojęcia o służbie i karności wojskowej ludzi. Sam on we wszystko wglądał, oficerom kazał z żołnierzami jadać z kotła; sztab miał nieliczny, w czem się różnił od Langiewicza, około którego kręciło się mnóstwo próżniaków i darmozjadów. Starał się również o zyskanie dla powstania ludu, który jak wiemy w tych stronach nie odznaczał się przychylnością. W tym celu wysyłał w okolicę księży, których miał kilku w obozie, by kazaniai starali się wytłómaczyć chłopu cel tej dziwnej walki, jaką toczono. Liczne też podjazdy i placówki polskie, lokując się po wsiach, miały rozkaz zyskiwania sobie przychylności chłopskiej.

Jakie siły miał Kurowski, trudno dziś dociec. Raporty rosyjskie obliczały go na 3.000 ludzi, co jednak wydaje się być mocno przesadzonym. Według naszego obrachunku, mógł on liczyć około 2.000. Bądź co bądź takie przesadzone wieści o sile Kurowskiego obiegały wówczas po sztabach rosyjskich; najróżnorodniejsze plotki sprawały, że sytuacja w Krakowskiem wydawała się władzom rosyjskim bardzo groźną.

General Uszakow donosił do Warszawy, że gdzieś na południu gubernji radomskiej, w okolicach Olkusza, ukrywa się kilka oddziałów pod dowództwem Mierosławskiego, w ogólnej liczbie 17.000 ludzi, wśród których znajduje się 8.000 samych węgrows. Wszystkie te raporty i pogłoski w połączeniu z wiadomością o oczyszczeniu przez Kurowskiego granicy z obyczajków na znacznej przestrzeni, o jego marszach tryumfalnych, rozkazach i bezwzględnem rozporządzaniu się w całym powiecie olkuskim, musiały nakoniec zwrócić uwagę władz warszawskich, i zrodzić w nich postanowienie położenia temu końca. Sam W. Książę sprawą tą się zajął, i z jego inicjatywy zorganizowano wielką wyprawę na obozowisko Ojcowskie. Jak zawsze u ówczesnych strategów rosyjskich zasadniczą osnową tej wyprawy miało być otoczenie powstańców i wyłapanie ich co do nogi. W tym celu z Częstochowy miał wyruszyć pułkownik Ostrowski na czele 8 kompanij piechoty, stu kozaków i sześciu dział, i atakować obóz Ojcowski od strony północy; z Miechowa rozkazano współcześnie księciu Bagrationowi wystąpić z bataljonem strzeleckim (pięć kompanij), oraz jedną kompanją pułku smoleńskiego, którą ściągnięto z Kielc, półszwadronem dragonów noworosyjskich, setką kozaków i dwoma działami, i maszerować na Michałowice wzdłuż granicy austriackiej, dla atakowania Ojcowa od południa i odcięcia powstańców od Krakowa. Siły obu tych kolumn, wynoszące w przybliżeniu przeszło 3000 bagnatów i szabel, nie wydawały się w Warszawie dostatecznymi dla zgniecenia obozowiska Ojcowskiego. Wysłano więc jeszcze z Warszawy cztery kompanje gwardji (jedną kompanję pułku keksholmskiego grenadjerów i trzy petersburskiego) oraz cztery działa, pod wodzą pułkownika Korfa.

Wszystkim tym kolumnom wydano szczegółowe instrukcje, zredagowane przez generała Uszakowa, i zatwierdzone w sztabie generalnym w Warszawie. Ostrowski miał więc maszerować na Żarki, stanąć tam dnia 17 lutego, połączyć się z kolumną gwardjacką Korfa, i dnia następnego być w Pilicy; stąd ruszyć na Wolbrom. Bagration miał wystąpić z Miechowa d. 16 lutego i tegoż dnia dotrzeć do Michałowic, i następnie posuwać się wzdłuż granicy. Tym sposobem, gdyby Kurowski o niczem nie wiedział i nieruchomie tkwił w Ojcowie, mógł być najpóźniej dnia 18 lutego zaatakowany z dwóch stron przez siły przeważne, i oczywiście doszczętnie zgnieciony. Na szczęście wódz polski dość wczesnie uwiadomiony był jak najszczegółowiej o grożącym mu niebezpieczeństwie. Zdaje się, że pierwszą wiadomość o ruchach rosyjskich otrzymał dnia 14 lutego wskutek ataku, jaki był wymierzony na jego placówkę pod Słomnikami.

Po przybyciu bowiem z wyprawy sosnowieckiej do Ojcowa, wysłał on w charakterze grangardy 200 ludzi, pod dowództwem Wincentego Wanerta, majora z wojsk rosyjskich, kaukazyjczyka i komendanta strzelców w oddziale, z rozkazem ażeby zajął po-

zycję w pobliżu miasteczka Słomnik, i miał baczną oko na drogę bitą z Miechowa do Krakowa. Wanert spełniając ten rozkaz, umieścił się we wsi Iwanowice odległej o 7 kilometrów od Słomnik. Druga taka grangarda w sile 500 ludzi (jedna kompania kosynjerów, jedna strzelców i szwadron jazdy) stała garnizonem w Skale pod komendą Cybulskiego, wychowawcą szkoły wojskowej w Cuneo. Otóż, o ile sądzić można z nader mętnych podań o całej tej akcji, te dwie wysunięte placówki pierwsze spostrzegły, jak to zresztą było ich obowiązkiem, jakieś ruchy nieprzyjaciela mocno podejrzanego natury, a Wanert nawet stoczył lekką utarczkę z rekonesansem ks. Bagrationsa. Ten bowiem jakkolwiek oddalony był od obozowiska Ojcowskiego o parę mil zaledwie, miał o niem bardzo niejasne wiadomości; chociaż ludność wiejska była źle usposobiona przeciw powstańcom, jednakże przez cały ciąg wojny, brzmia nieustannie skargi dowódców rosyjskich na nadzwyczajną trudność w zasięgnięciu dokładnych danych o sile i stanowiskach powstańców. W takim położeniu był i Bagration; dla tego też w dniu 14 lutego wysłał on silny rekonesans, złożony z 2 kompanij piechoty i 50 obieczczyków, pod komendą majora Jabłońskiego, w kierunku Słomnik, skąd dochodziły głuche wieści o pojawieniu się powstańców, z rozkazem dotarcia do Skały i dostania koniecznie języka. Jabłoński doszedłszy do Iwanowic w nocy, powitany został strzałami, cofnął się więc do Słomnik, skąd o świcie został wyparty w popłochu przez Wanerta, i wrócił z niczem do Miechowa.

Współcześnie tegoż dnia 14 lutego w obozie Ojcowskim otrzymano wiadomość, że w Wolbromiu ukazał się nieprzyjaciel (szwadron dragonów). Kurowski rozkazał więc Cybulskiemu stojącemu w Skale; ażeby z połową swego oddziału wyruszył śpiesznym marszem do Wolbromia. Jakoż Cybulski udał się tam, ale nieprzyjaciela nie zastał, i miał już wracać na dawne swe stanowisko, gdy nagle został zatrzymany na miejscu depeszą Kurowskiego, aż do dalszego rozkazu. Jakiż był powód takiego rozkazu? Oto Kurowski otrzymał jak najdokładniejsze wiadomości o zamierzonym napadzie rosyjskim na Ojcow. W takim położeniu, gdy o przyjęciu bitwy czy to w Ojcowie, czy na innej wybranej pozycji, nie mogło być mowy, mając od czoła Ostrowskiego, a od tyłu Bagrationsa, przedstawiały się tylko dwa plany działania: albo ze wszystkimi siłami forsownym marszem wy dostać się z rejonu oblavy rosyjskiej z dyrektywą północno-wschodnią, i odskoczywszy od obu oddziałów nieprzyjacielskich, starać się o połączenie z Langiewiczem; albo też uderzyć na rosjan w takim punkcie, w którym oni są najslabsi, i tym sposobem oblawę przełamać.

Pierwszy plan, jakkolwiek bardzo niebezpieczny, i możliwy do wykonania tylko przy nadzwyczaj sprężystym działaniu, i przy pomocy forsownych wysiłen, był naszym zdaniem naj-

lepszy, ze względu na złe i niedostateczne uzbrojenie powstańców. Kurowski jednak zachęcony dotychczasowem powodzeniem, swem sosnowieckiem zwycięstwem, postanowił chwycić się planu drugiego.

Ponieważ garnizon Miechowa wyruszył z Bagrationem na wyprawę, sądził więc wódz powstańców, że w miasteczku tem zostały bardzo niewielkie siły, że zatem łatwo je przyjdzie pokonać; dla tego zdecydował się uderzyć na Miechów, zdobyć go, a tym sposobem wysunąć się poza oblawę rosyjską, i mieć wolną drogę przed sobą ku zamierzonemu połączeniu się z Langiewiczem. Zdaje się jednak, że niedość jasno przedstawił sobie swe zamiary, gdyż wyruszając z Ojcowa dnia 16 lutego, zostawił tam większą część swego taboru i około 300 ludzi nieuzbrojonych wcale, chorych i rannych, pod dowództwem niejakiego Ignacego Dobrskiego, przedtem nadleśnego dóbr Złoty Potok, któremu polecił, ażeby po wyjściu głównego oddziału, natychmiast wyruszył z Ojcowa w kierunku Olkusza, aby „po bitwie miechowskiej złączyć się z głównymi siłami“. Okazuje się z tego, że Kurowski nie myślał na serjo o połączeniu się z Langiewiczem, i wogóle nie miał zdecydowanego postanowienia co ma robić po pokonaniu załogi miechowskiej. Dyrektywa na Olkusz oddalała go bowiem stanowczo od Langiewicza, a natomiast narażała na spotkanie z Ostrowskim i Korfem.

Tymczasem gdy Kurowski obmyślał swój plan, zaszły wypadki, które zupełnie zmieniły położenie rzeczy. Wódz polski przekonany był, że z chwilą wyjścia Bagrationa z Miechowa załoga tego miasta będzie tak słabą, że z łatwością ją pokona i Miechów zdobędzie. Okoliczność tę jednak przewidziano w sztabie rosyjskim, nie chcąc ogałacać tak ważnego stanowiska jak Miechów, polecono Czengieremu, ażeby do miasta tego na załogę wysłał trzy kompanie piechoty pułku smoleńskiego z dwoma działami, pod wodzą majora Bentkowskiego, polaka, i pół szwadronu dragonów noworosyjskich. Posiłki te przybyły dn. 16 lutego i Bagration, wyruszając tegoż dnia na swą wyprawę, zabrał jedną kompanję, dragonów i artylerję, a w Miechowie pozostawił dwie kompanje smoleńszczan, półtorej kompanji straży pogranicznej i komendę inwalidów, żandarmerji i nieco kozaków, jednym słowem siły wynoszące 550 ludzi, aż nadto dostateczne do obrony miasta. Dowództwo nad tą załogą oddano majorowi Niepieninowi, komendantowi straży pogranicznej. Kurowski o tem wszystkim nie wiedział i wiedzieć nie mógł, bo przypuszczając nawet, że miał związki z miastem i otrzymywał ztamtąd szczegółowe o wszystkim wiadomości, to jednakże owe dwie kompanje przybyły do Miechowa dn. 16 lutego późnym wieczorem, odrazu weszły do koszar i po nurzącym marszu położyły się spać, tak że z pewnością ogromna większość mieszkańców nie wiedziała wcale o ich

przybyciu. Dość że Kurowski, pełen najlepszych nadziei, opuścił dn. 16 lutego o godzinie 2½ po południu obozowisko Ojcowskie, by przystąpić do wykonania swego planu. Zachowano o celu tej wyprawy zupełną tajemnicę, i nikt z podkomendnych nie wiedział o zamiarach wodza. Dopiero w Skale kapelan oddziału ks. Serafin Szulc, który pozostawił po sobie interesujące pamiętniki, w przemowie publicznej uwiadomił powstańców o wyprawie na Miechów. Oświadczył, że w mieście tem owego dnia rozpoczęto czterdziestogodzinne nabożeństwo, że trzeba je jutro zakonkludować w starym Bożogrobców kościele tryumfalnem „Te Deum“. Duch w oddziale był jak najlepszy: „takiego zapędu i ochoty w żołnierzu jak wówczas, opowiada świadek nacoczny, nigdzie już później widzieć mi się nie zdarzyło“.

Kurowski pierwotnie zamierzał maszerować na Miechów zwykłą drogą na Iwanowice do Słomnik, a stąd już gościńcem bitym, gdy w Skale dowiedział się, że Bagrations doszedłszy do Słomnik rozdzielił swe siły; z jedną częścią sam pomaszerował do Michałowic, a drugą wysłał na Iwanowice do Skąty. Wódz polski nie chcąc spotkać się z rosjanami, co odciągnęłoby go od celu głównego, zmienił plan pierwotny, skrzył na lewo i ruszył bocznymi drogami na Minogę i Czaple Wielkie. Ze Skąty wysłano rozkaz do Cybulskiego, stojącego w Wolbromiu ażeby pomaszerował trzymając się rzeczki Szreniawy do wsi Biskupice, leżącej w odległości paru kilometrów od Miechowa, i ażeby tam stanął dnia 17 lutego o godz. 5 rano, i czekał dalszych rozkazów.

Marsz ze Skąty do Czapel był bardzo uciążliwy. Zimno dokuczało mocno, wielki śnieg upadł, i w tym kraju pofałdowanym licznymi wzgórzami i wąwozami posuwano się wolno, a mimo to ludzie męczyli się i wyczerpywali. Noc szybko zapadła, co zwiększało trudności tego pochodu; do Czapel dużej i bogatej wsi, należącej do Popielów, dobito się o północy i odpoczęto sobie nieco. Tutaj przyłączył się mały oddziałek pod wodzą Grekowicza, który od chybionego ataku na Radomsk w noc styczniową, błąkał się po Piotrkowskiem, aż dążąc do Ojcowa, natknął się na Kurowskiego w Czaplach. Po parogodzinnym spoczynku, po uczęstowaniu żołnierzy wódką, około godz. 5 rano wyruszone w dalszą drogę. W odległości sześciu wiorst od Miechowa oddział wszedł na szosę krakowską, i po niej już maszerował dalej.

Miechów leży w kotlinie utworzonej przez dopływ Szreniawy, i otoczony jest dokoła wzgórzami, które dominują ponad miastem, tworząc mianowicie od strony południowo-zachodniej i wschodniej dość głębokie wąwozy łatwe niewątpliwie do obrony, ale też uprzęstępniające znacznie nocny atak. Z tej strony z której szedł Kurowski, od szosy krakowskiej po jej lewej stronie na wzgórze znajdował się cmentarz, otoczony dokoła murem, z kaplicą murowaną św. Barbary. Był to klucz pozycji,

jeżeli ona miała być atakowana od południa Łatwiejszy o wiele przystęp był ze wschodu po drodze od Działoszyc, jak również od zachodu drogą od Wolbromia. I dla tego atakując Miechów należało z tych stron uderzyć, unikając przez to trudnego szturm do cmentarza; ale ponieważ Kurowski szedł od południa, więc też od południa atakował, nie troszcząc się, a może nie zdając sobie sprawy, że znalazłby się lepszy i łatwiejszy punkt napadu.

Świt się już robił szary (17 lutego), chłodny świt zimowego poranka, gdy się zbliżono do miasta. Zdawała się tam panować martwa, niczem niezakłócona cisza. Niepienin bowiem zrazu nic nie wiedział o gotującej się nad burz. Dopiero o świcie samym, niewątpliwie wskutek prostej zdrady, zapewne jakiegoś chłopca lub żyda, zdrady wyszłej o ile się zdaje z Czapel Wielkich, dowiedział się o zbliżaniu się do miasta powstańców. Nie tracąc ani chwili czasu, z przytomnością umysłu rzadko przytrafiającą się u dowódców rosyjskich tej doby, powołał w największej cichości kompanję pod broń, a mieszkańcom zakazał pod karą śmierci pokazywać się na ulicach, drzwi i okna starannie pozamykać. Ponieważ wiadomość o powstańcach, ze zwykłą przesadą, twierdziła o znacznej ich liczbie, o 3000, więc Niepienin wezwał do walki ludzi pozaszeregowych, nawet ordynansów i takich chorych, którzy mogli utrzymać się na nogach. Z uwagi, że ulice miasteczka wylotami swemi wychodziły na rynek, a w pobliżu tegoż po lewej stronie szosy kieleckiej wznosił się klasztor i kościół Bożogrobców, gmach wielki i mocny, otoczony murem, więc Niepienin główne swoje siły tu skoncentrował, klasztor zajął komendą inwalidów i pozaszeregowcami, wiele domów w rynku do stanu obronnego przyprowadził. Na szosę krakowską, skąd powstańcy się zbliżali, wysłał całą piątą kompanję pułku smoleńskiego, która umieściła się na cmentarzu i na sąsiednich wzgórzach; objezczyków i kozaków rozestał na widety; kompanja dwunasta smoleńszczan i kompanja straży pogranicznej rozsiała się na rynku, z wysuniętymi placówkami na szosie kieleckiej, t. j. od północy i na drodze od Działoszyc t. j. od wschodu. W takiej pozycji oczekiwał zbliżenia się powstańców.

Kurowski na odległości trzech niespełna kilometrów od miasta zatrzymał się, i wydał ostateczne rozporządzenia. Rochebrun tedy miał na czele żuawów zaatakować miasto od strony południowo-wschodniej, mając po swej prawej silny oddział jazdy pod wspomnianym już Lipczyńskim, któremu polecono sięgnąć aż na drogę do Bukowskiej Woli, i przy sprzyjających okolicznościach atakować stąd miasto, a w razie zwycięstwa przerzucić się na szosę kielecką i odciąć odwrót nieprzyjacielowi. Strzelcy pod wodzą Wanerta, maszerując szosą, mieli uderzyć od południa; od zachodu wreszcie Cybulski, który według rozkazu, winien był znajdować się już w Biskupicach. Ale Cybulski maszerował z wielką trudnością. Nie znając okolicy,

zapytawszy się miejscowych mieszkańców, jak daleko z Wolbromia do Biskupic? na odpowiedź, że jest tylko sześć godzin marszu, wyruszył dopiero o godz. 9, pewny, że o 5 rano stanie w miejscu swego przeznaczenia. O przewodnika było trudno, tak że w końcu jakaś baba karczmarza, po dziesięciu godzinach nużącego niesłuchanie marszu, między godziną 7 a 8 rano doprowadziła oddział do Biskupic. Tu czekał już posłaniec od Kurowskiego z rozkazem, ażeby Cybulski natychmiast przed naczelnikiem się stawił Zdawszy więc komendę Rozemu dowódcy jazdy, udał się ze swym przewodnikiem i po długim szukaniu odnaleziono nakoniec Kurowskiego, który po to tylko wezwał Cybulskiego, ażeby osobiście nakazać mu atak Miechowa od strony Wolbromia. Dzięki temu wszystkiemu, temu niepojętemu nierozgarnięciu i marnowaniu czasu, oddział Cybulskiego najlepiej uzbrojony, jakkolwiek posiadający niewielki zapas amunicji, nie wziął wcale udziału w ataku.

Kurowski, tak się rozporządziwszy, ruszył naprzód. Wanert i Rochebrun zajęli przeznaczone im pozycje, mając na froncie szwadron jazdy Radońskiego, przeważnie z młodzieży uniwersyteckiej krakowskiej złożony, w tyle zaś w ściśniętej kolumnie kosynierów pod Korotyńskim, stanowiących wraz ze świeżo przybyłym oddziałkiem piotrkowskim Grekowicza, rezerwę.

Mogła być godzina 6 rano, już dniało, gdy jazda spędzwszy widety objezczyków, powitaną została gęstą palbą piechoty rosyjskiej ukrytej na cmentarzu. Dzielna ta młodzież pomimo straty kilku ludzi i koni, ogień ten wytrzymała, a Kurowski nadbiegłszy do Rochebruna, który według pierwotnego planu miał atakować miasto od strony południowo-wschodniej, a nie po stronie krakowskiej, nakazał mu ruszyć naprzód i cmentarz zdobyć. Właściwie należało to do Wanerta, słusznie więc Rochebrun zwrócił na to uwagę Kurowskiego, mówiąc że musi się do tego przygotować i front swój zmienić. Kurowski którego huk strzałów zdawał się rozdrażniać, tonem gniewnego uniesienia powtarza swe słowa i rozkazuje natychmiast je wykonać, jeżeli Rochebrun „nie chce być miany za tchórza“. Usłyszawszy to waleczny ten niezaprzeczenie francuz, rzuca w poczuciu dotkliwej obrazy pałasz swój na ziemię, i z kijem w rękę, krzyząc: „En avant polonais!“ (Naprzód polacy!) porywa swych żuawów, a pomimo rześatego ognia, który straszne czyni luki w szeregach tej mężnej młodzieży, dobiega do cmentarza, bierze go szturmem, część nieprzyjaciela w ręcznym boju kładzie trupem, a część zmusza do płochliwej ucieczki do miasta. Rochebrun uniesiony zapałem i krwawym swym triumfem na karkach nieprzyjaciela wpada do Miechowa, dokazuje cudów waleczności, wrywa żołnierzom rosyjskim z rąk karabiny i rzuca je za siebie; ale to położenia nie zmienia. Na ulicy Krakowskiej do której najprzód dotarł, wita go straszliwy ogień z domów, z poza parkanów, z okien i drzwi, ogień morderczy, bo na bliski

dystans wymierzony; mimo to waleczny ten zastęp młodzieży biegnie naprzód z nieustraszonem męstwem, i dostaje się na rynek, gdzie obsypany zostaje gradem kul ze wszystkich stron. Czas już był wielki poprzeć żuawów, którzy w nierównym boju, tracąc wielu ludzi, mogli być pokonani. Wyrusza więc do ataku Wanert ze strzelcami, dostaje się na rynek i tu się rozpoczyna krwawy uparty ręczny bój, zdobywanie pojedynczych domów, walka mężna ale bezskuteczna z dobrze uzbrojonym, wyćwiczo-nym i ukrytym nieprzyjacielem. Zdołano dotrzeć aż do klasztoru ale ten otoczony murem, broniony uparcie był nie do zdobycia. Kurowski chce rzucić do miasta swą rezerwę z kosynierów złożoną, ale ci wobec straszliwego ognia karabinów rosyjskich poruszyć się nie dają. Wódz polski narazie nie wie co robić, gdy nagle z wiedzą jego czy bez wiedzy, rozgrywa się epizod, który zgoła w inną stronę zwraca jego uwagę, i budzi w nim jeden z najnierozumniejszych i najrozpaczliwszych pomysłów.

Główna część jazdy polskiej pod Lipczyńskim, jak wiemy, wysłana była w stronę wschodnią Miechowa na drogę od Bukowskiej Woli, z rozkazem atakowania od tej strony miasta, i zaskoczenia linii odwrotu nieprzyjaciela od szosy kieleckiej. Otóż jeden szwadron tej jazdy pod wodzą Natęcza, b. oficera pruskiego wykonywując nierozumne polecenie wodza, w chwili gdy najzażartsza walka toczyła się w rynku, gdy tam wszystko rwało się i wrzało, a kule szerzyły spustoszenie, cwałem wpadł przez ulicę Bukowską (cz. Szkalbmierską) na rynek. Ale tu rycerska ta młodzież, powitana gradem ołowiu, męsza się, traci wielu ludzi i cofa się w nieładzie tą samą drogą którą przyszła, unosząc rannego swego rotmistrza. Otóż ten atak niemądry, bo nikt przecież jazdą miast nie zdobywa, rodzi w głowie Kurowskiego pomysł, ażeby szwadron jazdy Radońskiego, jaki miał przy sobie na szosie krakowskiej, rzucić do zięjącego śmiercią Miechowa. Radoński na rozkaz wodza formuje się czwórkami bo na taki front pozwala szerokość ulicy, rusza śmiało naprzód, i pędem wpada na rynek. Rażony ze wszech stron ogniem rwie naprzód, napotyka na drodze straż pograniczną, tratuje ją, rani ciężko jej wodza majora Małyszewa, w szalonym cwałie przerywa nawskroś całe miasto i wydostaje się na szosę kielecką. Ale tu już dzielna ta jazda tak heronicznie się poświęcająca, szarżą swą przypominająca najświetniejsze czyny lancy polskiej, zdziesiątkowana, krwią zlaną, bez swego wodza Radońskiego, który poległ, niezdolną jest do niczego, zламаło się jej męstwo o niepokonane zapory, i w rozpypce szuka oca-lenia przed ścigającymi ją kulami wroga.

Kurowski wobec tego pchnął do miasta ostatnią swą rezerwę Grekowicza, ale ta garść źle uzbrojonych i znużonych ludzi, nie była w stanie przeważyć szali. Poprawić sprawę mogło jeszcze pojawienie się oddziału Cybulskiego, mającego przybyć po drodze wolbromskiej; ale ten nie przybywa i przybyć zresztą

nie mógł. Powróciwszy bowiem po rozmowie z Kurowskim do Biskupic, nie zastał tam już oddziału, który pomaszerował pod Miechów. Wódz polski bo zapomniał powiedzieć Cybulskiemu, że posłał przewodnika z poleceniem poprowadzenia oddziału pod to miasto. Mimo to oddział ten przyszedł zapóźno; było już po bitwie i powstańcy w zupełnym odwrocie. Owszem Roze dążąc za innymi, włączył się ze swą kawalerją pomiędzy rozbitkami i większe tylko zamieszanie spowodował. Cofano się tam w nieładzie i popłochu. Gdy męstwo i waleczność niezaprzeczona, gdy wszelkie najheroiczniejsze wysiłki okazały się płonnemi, ogarnęło wszystkich zwątpienie, i ta przed chwilą tak odważna, tak dzielna młodzież, szukała ratunku w szybkiej jedynie ucieczce. Część cofnęła się na drogę do Bukowskiej Woli, część pobiegła na drogę Wolbromską; główna jednak masa parła na szosę krakowską. Na nieszczęście za uciekającymi nieprzyjaciel wysunął piechotę, która zdążyła znów zawładnąć cmentarzem, i stamtąd skrzywdłowym ogniem strychowała spłoszone tłumy na szosie. Jeden tylko Wanert nie stracił przytomności, a widząc po obu stronach gościńca głębokie rowy, nimi kazał się posuwać, i tym sposobem wielu życie ocalił. Kurowski zrospaczony usiłował powstrzymać uciekających, i jeszcze raz uderzyć na Miechów, ale wytłumaczono mu, że jest to niemożliwe, że wreszcie obawiać się należy, by Bagration na wieść o bitwie nie zawrócił i tyłów powstańców nie zabrał. Kurowski zgromadziwszy nieco rozbitków, cofnął się do leśnictwa Sosnowki, leżącego na wschód od szosy krakowskiej wśród boru, a później do Szkalmierza; ale tu gdy się wszystko zniechęcone nadzwyczajnie rozlaźić zaczęło, opuszczony i zgryziony wyjechał do Krakowa. Obóz Ojcowski istnieć tym sposobem przestał.

Kłęska miechowska ciężki zadała cios powstaniu w tych stronach, nietyle może pod względem materialnym ile moralnym. Straty polaków niewątpliwie były wielkie, gdyż wystawieni byli przez trzy godziny na straszliwy i bliski ogień dobrze ukrytego nieprzyjaciela, a nierozumne dwukrotne szarże jazdy liczbę ofiar pomnożyły. Jaką jest jednak ta liczba trudno dziś powiedzieć. Obie strony zmniejszając cyfrę swych poległych, do przesady podnosiły ją u nieprzyjaciela. Kurowski w swym raporcie przyznaje się do 30 zabitych i 100 rannych; Niepienin zaś według niego, miał mieć ogółem 80 poległych i ranionych. Źródła rosyjskie podają zupełnie odwrotny stosunek; twierdzą one, że liczba zabitych powstańców miała wynosić 200, a prócz tego mieli oni mnóstwo rannych, do niewoli zaś wzięto 75 ludzi. Rosjan poległo 8, rannych było 20, w ich liczbie dwóch oficerów i kwatermistrz. Że cyfry te nie są autentyczne dowodzi podanie zaczerpnięte z akt urzędowych, według których rosjanie mieli 7 poległych i 32 rannych, a między nimi 4 oficerów; powstańców zaś poległo 300, a do niewoli dostało się 67, między którymi było 15 ranionych; z tej liczby jeńców chłopci okoliczni

schwytali 21 i odstawili do Miechowa. Znaczne zapasy broni prócz tego dostały się w ręce rosyjskie bo 57 strzelb, 40 pistoletów, 25 szabli i około 700 kos. Ale te ciężkie straty, same przez się bolesne, stały się jeszcze bolesniejszymi, i jękliwie ozwały się w sercu całego kraju przez to, że samo miasto Miechów najkrwawiej odpokutowało za nierozumny napad Kurowskiego. Po odparciu powstańców, w pół godziny po uciśnieniu się straszliwej przed chwilą burzy, rozpoczęła się zwykła w tej dobie w szeregach rosyjskich pijatyka i rabunek. Początek do niego dały kompanje pułku smoleńskiego, zaprawione na rzezi w Suchedniowie, Wąchocku i Słupi; oszaleli od boju i krwi przelanej, napół zdziczali żołnierze odbili szynki, składy z wódką, wytaczali na rynek beczki i pić poczęli; inni znosili snopy słomy, króre zapalali i rzucali na dachy domów. W jednej chwili wszczął się pożar, w kilku naraz miejscach miasta. Współcześnie poczęli strzelać do okien, wdzierać się do domów pod pozorem szukania tam powstańców, albo też utrzymując że z tego a tego domu do nich strzelano. Rozpoczęły się straszne sceny rozpasania. Wpadając do domów kazali sobie oddawać pieniądze, porywali właścicieli, bili ich, grabiąc wszelkie przedmioty, rąbiąc meble. Powoli od rabunku przeszli do rzezi. Burmistrz Miechowa Piotr Orzechowski, znany ze swej gorliwości obywatelskiej, gdy zdziżałe żołdactwo, zmienione pod wpływem krwi i gorzałki w hordę rozbójniczą, napadło na jego dom, ubrał się w mundur urzędowy i order, i wyszedł na ulicę przekonany, że widok tych oznak powstrzyma żołdaków. Ale niestety, nic ich nie powstrzymało. Rzucili się na niego, kolbami i bagnietami ohydnie zamordowali, obdarli z ubrania, i nagiego krwawego trupa rzucili do rynsztoka. Pół godziny tak leżał, deptany i kłuty przez przebiegających żołdaków, aż nieszczęśliwa córka ubłagała kogoś, że okrutnie znieważone zwłoki przeniósł do domu, gdzie wkrótce stały się pastwą pożaru. Zamordowano także Antoniego Kułakowskiego urzędnika pocztowego, Górkę obywatela z Krakowskiej ulicy, stolarza Kilińskiego, wreszcie jakąś kobietę wiejską idącą do miasta z nabiątem. Do naczelnika powiatu Januszkiewicza wpadli także do mieszkania, ale dzięki żołnierzom z komendy inwalidów ocalał, zapłaciwszy wprzód znaczną sumę. Przerażony tem natychmiast bokami uciekł z miasta do wsi Uniejowa, skąd wysłał do naczelnika wojennego radomskiego, generała Uszakowa, raport o tem co się działo w Miechowie. Raport ten obiegł wszystkie dzienniki zagraniczne i słuszną zgrozę wywołał*).

Tymczasem w mieście, wystawionem na wszelkie okropności pożaru, rzezi i rabunku, powstał popłoch nieopisany. Kto

*) Januszkiewicz, nie czekając na następstwa, zaraz po napisaniu tego raportu wyjechał do Krakowa; sekretarz powiatu Kaniowski, za to że podpisał ów raport, został później wysłany na Syberję.

mógł uciekać. Kobiety w koszulach, napót nagie, dzieci, mężczyźni boso nie zważając na mroźną porę, wymykali się do lasów okolicznych. Wielu schroniło się do t. zw. zamku (czyli klasztoru) gdzie było biuro naczelnika powiatu i odwach, i tam dzięki temu, że otoczeni zostali komendą inwalidów, która jako stałe kwaterująca w Miechowie, znała prawie wszystkich mieszkańców, ocaleli. Żołnierze tak dalece nie słuchali oficerów, że kapitan strzelców Bugaszewski widząc, że schronieni na odwachu, mimo wszystko, mogą być wymordowani, ułatwił im ucieczkę tyłami, za co omało, że przez własnych podkomendnych nie został wzięty na bagnety. To też oficerowie pokryli się, zostawiając zdziczałej hordzie swobodę działania. Wśród tego wszystkiego miasto gorzało i ogień coraz szersze obejmował przestrzenie. Spaliły się zupełnie trzy połacie rynku i kilkanaście ulic. Pożar ugaszono dopiero nazajutrz o godz. 10 rano. Kto mógł uciekał z miasta, zamożniejsi mieszkańcy chronili się do Krakowa, bo po wsiach bali się zostawać, gdyż obiegaly pogłoski o rzezi chłopskiej; prócz tego objeżdżycy i kozacy przebiegali całą okolicę, przyczem kilka wsi spalili i zrabowali.

Wieść o tem wszystkim, o tych strasznych, czasy Atylli przypominających scenach, obiegła nietylko Polskę, ale całą Europę, i wywołała powszechny krzyk oburzenia. Dzienniki zagraniczne silnymi słowy piętnowały dzikość i barbarzyństwo żołnierza rosyjskiego. To też jak gdyby dla usprawiedliwienia się przed tą opinią uczuć ludzkich, raport urzędowy niegodnie skłamał, że wielu mieszkańców występowało po stronie buntowników, a między nimi burmistrz, który wystrzałem z domu swego ranił żołnierza pułku smoleńskiego. I to kłamstwo najoczywistsze przeszło wprawdzie do pseudo-poważnych historyj rosyjskich tych czasów, ale nie zdołało zatrzeć prawdy w oczach współczesnych. Nikt nie strzelał, nik nie miał broni w mieście, a okna i drzwi, jakośmy już powiedzieli, były szczelnie zamknięte we wszystkich domach. Po za słusznem też oburzeniem, żal serce ściszał na tyle ofiar i tyle krwi bezplodnie przelanej. Kraków, który główny kontyngens swojej najlepszej młodzieży dostawił do obozu Ojcowskiego, na wieść o katastrofie miechowskiej okrył się żałobą. Już tego samego wieczora i dnia następnego ciągnęły do miasta długim ponurym korowodem bryczki z ranionymi. Tych, którzy nie mieli ani krewnych, ani przyjaciół, pomieszczono w klinice uniwersyteckiej. Naprzeciw wlokących się fur wychodziły z miasta całe tłumy płaczących kobiet; matki szukały synów, siostry braci, żony mężów. Ileż rozdzierających scen rozegrało się wtedy, gdy się dowiedziano, że ten i ów poległ. Dnia 18 lutego było już w mieście 48 rannych, a nie przestawali przybywać nowi. Rogi ulic pokryły się żałobnymi plakatami, wszędzie skargi na Kurowskiego rozbrzmiewały. Oburzenie nań było tak wielkie, że gdy przybył do Krakowa nie śmiał się pokazywać na ulicach; nazywano go zdrajcą,

gubicielem młodzieży, sprzedawczykiem, który za pieniądze rosyjskie umyślnie na rzeź swój oddział wydał. Nie ulega wątpliwości, że Kurowski ciężko zawinił, że przedsięwziął swą wyprawę lekkomyślnie, że nie wiedział o siłach nieprzyjaciela, że atak sam najnierozumniej poprowadził, że nakoniec zmarnował powstanie krakowskie, ale zdrady tu nie było — było tylko niedołęstwo niesłychane i karygodne. — Tyle Przyborowski o bitwie miechowskiej.

Ksiądz Leon Postawka, podówczas od r. 1862 wikary w Miechowie, w „Pamiętnikach” *) swoich w rozdziale II (str. 19 — 30) p. t. „Wypadki 1863 r i pogrom Miechowa”, po krótkim opisanu bitwy (w podobny sposób jak powyżej W. Przyborowski) podaje niektóre ciekawe zdarzenia jakie nastąpiły po niej, po nieszczęsnym pogromie i odwróceniu powstańców.

„Miasto, pisze ks. Postawka, pozostało na pastwę rozjątrzonych żołnierzy. Niepodobna mi opisać to wszystko co się działo w tem nieszczęsnem mieście. Wyobrazić to może sobie tylko ten, kto był naocznym świadkiem powstania styczniowego w naszym biednym kraju. Gdy mroki nocne zaczęły się rozprasać i zaświtała zorza poranna, potyczka była skończona. Niekiedy tylko pojedyncze odzywały się strzały. Okropne chwile trwogi przeżywało struchlałe miasto wydane na łaskę i niełaskę silnie podnieconego wojska. Nastąpiła straszna chwila pogromu. W powietrzu rozlegały się rozdzierające krzyki dzieci i kobiet, lament ojców i matek. Wieczorem całe miasto stało w płomieniach, z wyjątkiem kościoła i przyległego klasztoru, w którym mieściły się biura powiatu, kasy i probostwo. Zapanowała nieopisana panika: rozpacz ludzi, ryk zwierząt, trzask walących się budynków, pożeranych przez niszczący, szalony żywioł — tworzyły istną otchłań nieszczęścia. Na plebanji zebrano się wiele osób, które zdołały ująć zagłady w środku palącego się miasta. Do wnętrza świątyni i probostwa dochodził trzask płomieni, niszczących wszystko. Kobiety i dzieci napół ubrane modliły się i płakały na głos, w śmiertelnym niepokoju o los pozostałych członków rodziny.... Gdy tak zgromadzeni na plebanji, modląc się wyczekiwaliśmy dalszych wypadków, wniesiono do salonu dwudziestoletnią pannę Florentynę Orzechowską, całą zalaną krwią. Słabym głosem zawezwała księdza. Zbliżyłem się szybko do niej. Nieszczęśliwa miała zaledwie siłę wymówić te słowa: „Ojciec duchowny, zamordowano mi ojca!” rzekłszy to upadła jak martwa na podłogę. Ojciec jej był burmistrzem Miechowa, gdy nasi biedni powstańcy cofali się wyszedł na rynek ubrany w mundur z orderami na piersi. Sądził, że te oznaki

*) „Pamiętniki obejmujące okres od r. 1863 do 1908, poprzedzone wspomnieniami z lat dziecińczych, napisane przez ks. Leona Postawkę”. Paris, imprimerie Levé, 1908, 8-ka, część I i II (dwa tomy) z portretem autora

urzędu i władzy zapewnią mu nietykalność; zaledwie jednak postąpił parę kroków, żołnierze rzucili się nań i zamordowali kilkunastu pchnięciami bagnatów. Panna Florentyna, widząc z okna mieszkania, jak rzucono się na jej ojca, wybiegła chcąc go sobą zasłonić; zapóźno jednak, gdyż ojciec wyzionął ducha. Padła więc nieprzytomna obok ofiary. Jacyś dwaj oficerowie poznawszy ją, pośpieszyli z pomocą; nie była ranną, a tylko oblaną krwią ojcowską; i w takim to stanie przyniesiono ją na plebanję. Widok ten mógłby wzruszyć najzimniejsze nawet serca. Pani Orzechowska, żona zamordowanego, trafem ocalała od niechybnej śmierci, wraz z małoletnim synkiem wyjechała bowiem na parę dni przed opisaniem wypadkami do Krakowa. Ciało burmistrza obdarto z ubrania. Jak się dowiedziałem później od jego córki, miał przy sobie wszystkie oszczędności, przeszło ośm tysięcy rubli. Po skończeniu obdzierania zwłok zrabowano dom, a ciało burmistrza wrzucono w płomień... Pan aptekarz i kilku innych schronili się do dzwonnicy, której drzwi zostały otwarte. Dzwonnica jednak nie łączyła się z kościołem. Nie mogąc się przeto do niego dostać, a obawiając się o swoje życie, wdrapali się do wielkiej wysokiej kopuły, i przepędzili tam dwa dni i dwie noce bez żadnego pokarmu, w wielkiem przerażeniu na straszny widok tego co się działo w mieście i jego okolicy, a co z wysokiej kopuły doskonale widzieli.

„W tym smutnym i rozpaczliwym czasie proboszczem w Miechowie był ksiądz Rakowski, w podeszłym już wieku. Aby lepiej być widzianym przez rosjan, przyjął do swojego domu za kucharkę rosyjankę. Los tak zdarzył, że ona właśnie z racji swojej narodowości i języka uchroniła plebanję od podpalenia, a proboszcza od niechybnej śmierci. Gdy pożar ogarnął prawie całe miasto, kilkunastu żołnierzy z hałasem wpadło do proboszcza, grożąc bagnetami, wołało: „Księżę, dawaj dieńgi (pieniądze)!” Gwałtowny ten napad ułagodziła gospodyni, przemawiając do podchmielonych żołnierzy rodowitym ich językiem. Reszty dokonał sam proboszcz, mówiąc, do nich swoim zwyczajem: „Moi drodzy — poczekajcie, poczekajcie!” wyjął z kieszeni tabakierkę, z biurka zaś cygara, papierosy, i częstował nimi podochoconych żołnierzy. Gospodyni tymczasem przyniosła duży gaşior wódki, której zawsze spory zapas proboszcz miał w piwnicy. Pod wpływem tego poczęstunku żołnierze zapomnieli o pieniądzach, a wychwalając dobrego i gościnnego księdza, opuścili plebanję. Wizyta nieproszonych gości, aczkolwiek zakończyła się pomyślnie, tak jednak podziątała na ks. Rakowskiego, że gdy kule wybiły kilka szyb w plebanji, ksiądz proboszcz schronił się do lochów kościelnych, i tam ukryty przesiedział cały czas niebezpieczeństwa. Kolega mój (pisze ksiądz Postawka) ks. Józef Dotkiewicz podczas tych strasznych dni był nieobecny; wyjechał bowiem do Wielkiego Księża, by zaprosić tamtejszego wikariusza, znanego kaznodzieję, na uroczyste na-

bożeństwo w Miechowie. Będąc już w powrotnej drodze, a zobaczywszy pożar miasta i słysząc huk strzałów, wrócił z towarzyszem do Wielkiego Księża.

„Prócz kwaterujących żołnierzy straży pogranicznej, w Miechowie była jeszcze część piechoty Smoleńskiego pułku. Jeden z żołnierzy tego pułku, spostrzegłszy mnie przed kościołem, wypowiedział te słowa: „Gdyby nie ten dom Boży, tobyśmy byli was wszystkich wycieli i probostwo spalili!”

„Dziwne zrządzenie Opatrzności, że z rzezi miechowskiej garstka mieszkańców a w ich liczbie i ja (pisze ks. Postawka) wyszliśmy cało. Zawdzięczamy to w znacznej części rosyjskim oficerom, którzy nocą z 17 na 18 lutego trzymali straż z rewolwerami w rękę przy zabarykadowanych drzwiach plebanji, gdzie ukryli przed żołnierzami własne swe rodziny. Szal żołdactwa dochodził do tego stopnia, że lżyli swych dowódców, nazywając ich zdrajcami.... Gdy niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejsze, opiekujący się nami oficerowie straży pogranicznej wyprowadzili nas tylnymi wyjściami przez ogród proboszcza na pole za miasto. Całą noc błądziliśmy, aż wreszcie dotarliśmy do sąsiedniej wioski, w której proboszcz miejscowy, choć z wielkim strachem przyjął nas do siebie, ugościł i przez dzień 18 lutego zatrzymał. Przespaliliśmy się gdzie i jak kto mógł, tak na probostwie, jako też i w chatach włościańskich. Pobożne chłopki płakały poznawszy mnie przebranego w jakąś starą chłopską kapotę, pożyczoną mi przez młynarza, gdyż moje ciepłe ubranie i płaszcz oddałem dwom paniom, matce i córce, które nawpół ubrane i drżące z zimna schroniły się na probostwo. Dnia 19-go lutego odzyskałem moje szaty kapłańskie i powróciłem do Miechowa... Wkrótce władza duchowna wezwała mię do Kielc, bym zdał urzędowo sprawę z tego, czego byłem naocznym świadkiem. Po powrocie z Kielc wyjechałem do Krakowa, w celu odwiedzenia parafjan miechowskich, którzy się tam schronili“. Tyle ks. Postawka o bitwie miechowskiej i jej następstwach.

Babka moja Emilja Piątkowska, z córką swą Eugenją Daniewską i jej małemi dziećmi, po wybuchu powstania, dla bezpieczeństwa większego, przeniosły się ze dworu swego w Zagórz do sąsiedniego Miechowa, do domostwa dziadka, który przebywał wówczas w Radomiu, jako tameczny gubernator cywilny.

Podczas niespodzianej bitwy miechowskiej, babka z ciotką usłyszawszy pierwsze strzały, odziawszy się naprędce z małemi wnukami, pod opieką starego kucharza Wincentego Cisłowskiego, ratowały się ucieczką z miasta bocznemi uliczkami i wężozem koło szosy kieleckiej do swego drugiego dworu w pobliskich Siedliskach, należących też do dzierżawy dziadka. Jego duży dom w Miechowie, w połaci północnej rynku, obejmował wtedy od frontu galerję obrazów, bibliotekę i różne zbiory artystyczno-naukowe. Mieszkania w oficynach od podwórza i ogrodu zaj-

mowały babka z ciotką Daniewską. Stamtąd to przez ogród tylnym wyjściem, uciekały biedne niewiasty z małemi dziećmi i domownikami, licho przyodziani, wśród kul świszających, przez pola do Siedlisk. Ale i tam nie było bezpiecznie! Spakowawszy niezbędne rzeczy, babka z ciotką i wnuczętami wyjechała pośpiesznie do Krakowa przez Imbramowice, skąd ze szkoły klasztornej zabrała z sobą swoją siostrę Marynię. Wuj Bogdan, przebywający podówczas w swoim dworze w Charsznicy, podążył też za nimi.

Gdy po bitwie w Miechowie zaczął się rabunek miasta, dom dziadka opustoszały uległ jeden z pierwszych grabieży. Jego bogate zbiory artystyczno-naukowe: galerja obrazów w złotych ramach, stare monety, medale złote i srebrne, księgozbiór w pięknych oprawach, meble stylowe, dywany, żyrandole i zegary ściennie żołdactwo zrabowało, a reszta zniszczona i zdeptana zgorzała w ogniu pożaru.

Z całego miasta ocalało od ognia tylko ubogie napół wiejskie przedmieście Janów, w dolinie nad rzeczką za ogrodem kościelnym położone, gmach poklasztorny, mieszczący biura rządowe powiatu i kasy, wreszcie przylegająca do nich połać rynku zachodnia, obejmująca cztery kamienice. Ocalała dla tego, bo w jednej z nich środkowej było biuro i mieszkanie naczelnika żandarmerji Giro, więc żandarmi nie pozwalali tam żołdactwu podpałać.

Gdy się załatwiono z rabunkiem i pożogą miasta, kozacy rozbiegli się po wsiach pobliskich, i pod pozorem szukania powstańców rabowali dwory, obory i mordowali kto się nawinął. Na najbliższym pod Miechowem folwarku Zagórze, dzierżawionym przez dziadka mego zrabowano dwór, spalono obory i stodoły ze szczętem. Młodego człowieka ogrodnika dworskiego Tomasza i jego małego pomocnika chłopca sierotę niemowę imieniem Łukasza, uciekających w pole, kozacy zarabali szablami. Na miejscu mordu przy łące dworskiej babka nasza kazała postawić skromny pomnik: krzyż na cokule z kamienia ciosowego z napisem pamiątkowym, ale władza nie pozwoliła na to i kazała pomnik usunąć. Przeniesiony został do wsi Siedliska pod Miechowem (dzierżawionej też przez dziadka) i wstawiony w mur otaczający tameczny kościółek, gdzie do dziś (r. 1916) stoi w całości.

Część rzeczy i obrazów zrabowanych w domu dziadka w Miechowie wywieziono na kilkunastu wozach przez Radom, nie wiadomo dokąd. W Radomiu, gdzie dziadek był podówczas gubernatorem cywilnym, dano do jego biurą znać, że w zajeździe na przedmieściu popasają furmanki naładowane rzeczami zrabowanymi w Miechowie. Dziadek posłał niezwłocznie urzędnika swego do gubernatora wojennego generała Uszarkowa. Ten posłał adjutantów niby dla rozpatrzenia rzeczy, ale ci zdali raport, że w zajeździe żadnych wozów z rzeczami zra-

bowaniami niema. Kazano bowiem przedtem furmanom wyjechać pośpiesznie w dalszą drogę. Dziadkowi zaś Uszakow dał odpowiedź z wymówką iż: „Dziwi się, że pan gubernator mógł przypuszczać, aby jego rzeczy wojsko rabowało i obrażać armię takim posądzeniem!“ Generał Uszakow zawiadomił dziadka, że wysłał telegraficznie rozkaz do Miechowa, aby dom dziadka otoczono strażą wojskową dla ochrony i zabezpieczenia. Rozkaz był ściśle wykonany. Postawiono straż wokoło spalonego domu przy stosach gruzu i popiołów — jakby na urągowisko! Gdy później dziadek, po obliczeniu szkód na przeszło milion złotych, żądał ich wynagrodzenia, otrzymał odmowę: że rząd nie może odpowiadać za wypadki i szkody spowodowane okropnościami wojny powstańczej...

Po uspokojeniu się okolicy Miechowa i powrocie wuja Bogdana do Charsznicy, od mieszczan miechowskich zdołał wuj odebrać kilkanaście obrazów olejnych, bez ram, z galerji dziadka, bardzo zniszczonych, podziurawionych bagnietami, pociętych i opalonych miejscami. Obrazy owe niektórzy szynkarze miechowscy dostawali od żołdaków rabusiów za butelkę wódki, paczkę papierosów, lub kilkanaście kopiejek, dla ozdobienia ścian szynkowni, a potem przy sposobności pooddawali wujowi za małym wynagrodzeniem. Obrazy te później wuj Bogdan dał mi do Warszawy, gdzie znakomity specjalista restaurator-artysta malarz Sachowicz (brat fotografa) poodnawiał je znakomicie. Były między niemi portret króla Stefana Batorego (w czarnej batorówce i w delji pąsowej z kołnierzem futrzanym), królowej Marji Kaźmiry Sobieskiej (jako Minerwa), Świątynia Salomona w Jeruzalemie (wnętrze z arcykapłanem i Rodziną świętą), głowa starca (studjum) i inne. W Krakowie, przy bramie Hotelu saskiego, od chłopaka jakiegoś wuj Bogdan odkupił za rubla srebrnego duży medal złoty, bity na pamiątkę zaślubin króla Jana Sobieskiego z Marją Kaźmirą, za który dziadek nasz nabywając w Wiedniu u antykwariusza dał 600 rubli.

Po bitwie miechowskiej dwór w Zagórzcu, wpobliżu miasta położony, uległ też, jak to już poprzednio nadmienilem, rabunkowi przez kozaków i żołdactwo moskiewskie. Meble i rzeczy cenniejsze przepadły, zostały gołe ściany.

Pomimo tak burzliwych czasów i dni niespokojnych nawet w murach szkolnych, nie zaniedbywałem wykładów i nauki, tak iż ukończyłem klasę VI-tą szczęśliwie z nagrodą przyznaną mi wedle świadectwa na 1-ej karcie: „za celujący postęp w naukach i wzorowe sprawowanie się“ dnia 15 lipca 1863 r., co podpisali dyrektor gimnazjum i profesorowie: Borzęcki, Jezierski, Szmideł, Kroemer, Piórko, Pągowski, Czarnecki, Aspis (ojciec poety Bogumiła) Buczyński i Głowacki (brat naszego kolegi z klasy VI-tej Aleksandra, przyszłego Bolesława Prusa).

Po akcie uroczystym zakończenia roku szkolnego wyjechałem na wakacje z mamą i młodszem rodzeństwem do wuja

Bogdana do Charsznicy pod Miechowem, gdzie we dworze starym, otoczonym lipami stuletniami, znaleźliśmy schronisko zaciszne wśród burzy rewolucji. Przybyła też wkrótce z Krakowa, i zamieszkała tamże przy synu swym babka nasza z moją siostrą najstarszą Marynią, która miała się przygotować do klasy i zakładu naukowego dla panien w klasztorze Norbertanek w pobliskich Imbramowicach. Ciotka Eugenia Daniewska po krótkim pobycie w Charsznicy wyjechała z powrotem do Radomia, gdzie dziadek nasz był jeszcze czas jakiś gubernatorem cywilnym.

W celu obejrzenia ruin Miechowa wybrałem się tam w piękny dzień pogodny, wózkiem parokonnym ze starym kucharzem Wincentym Cisłowskim, który miał poczynić zakupy prowiantu: mięsa, bułek i t. p. Wpółśród ogorzałych murów domu dziadka naszego, sterczały jeszcze tu i owdzie zwęglone belki między rumowiskiem i resztami popiołu. Miejscami dawni właściciele domów spalonych, lub nowonabywcy placów spustoszonych, przeważnie żydzi, zaczęli się odbudowywać.

Po załatwieniu sprawunków wracaliśmy popołudniu do domu. Za wsią Chodowem nagle wózek nasz otoczyło kilkunastu dragonów ruskich z dobytymi szablami, ze starym wachmistrzem żandarmów z Miechowa na czele. Ten właśnie na szczęście uratował nas od złej przygody i aresztowania. Znał on dobrze kucharza naszego i mnie trochę z widzenia; więc objaśnił dragonów, że jesteśmy spokojnymi mieszkańcami Charsznicy. Dla sprawdzenia jednak podoficer dragonów konwojował nas do dworu. Tam, po krótkim objaśnieniu przez kucharza, babka nasza kazała śpiesznie przynieść gąsior wódki przygotowanej dla żniwiarzy, kilka bochenków chleba i świeże sery krowie. Dragoni chciwie rzucili się na ten poczęstunek, mówiąc że od świtu nie mieli nic w ustach, a byli straszliwie zmęczeni i głodni. Wypiwszy wódkę i zjadłszy przekąski, ruszyli dalej galopem przetrząsać okolicę. Wyjaśniło się później, że był to patrol tylnej straży wojsk ścigających rozproszony oddział konny powstańców, który ratował się ucieczką ku granicy austriackiej.

Gdy się zaczęło zmierzchać, kucharz Wincenty wyszedł na zwiady rozejrzeć się koło dworu i zabudowań. Za sztachetami ogrodu usłyszał słabe jęki. Zawołał paru zaufanych domowników, poszli za ogród, i znaleźli ranionego młodego powstańca ze słabymi oznakami życia. Wincenty przybiegł do dworu na naradę co robić? Babka kazała przenieść ранnego natychmiast do pobliskiego składu narzędzi rolniczych obok stodół. Zrobiono wygodne posłanie ze świeżego siana, i ułożono ostrożnie biednego ранnego. Siostrzyczka moja Marynia pobiegła po wodę do opatrunku; gdy wracała z dzbanem, spostrzegła konnego kozaka, który ją zapytał: którądy tu droga do Miechowa? Roztropna dziewczynka otworzyła bramę w płocie, wskazała najbliższy przejazd do drogi miechowskiej między wierzbami, i kozak popędził tamtędy dalej. Siostra zamknęła lasę, i przyniosła dzban z wodą

do ranionego, opowiadając o swojej przygodzie. Przedsięwzięto też wszelkie ostrożności, aby nie było widać światła w magazynie, gdzie spoczywał ranny. Babcia, mama i Wincenty obmyli twarz i ciało z krwi zakrzepłej i zrobili pierwszy opatrunek ran licznych. Ja i rodzeństwo młodsze we dworze darliśmy pośpiesznie szarpie i bandaże z czystej miękkiej bielizny. Okazało się, że biedak miał kilkanaście ran, przeważnie klutych. Przyszedszy do przytomności, mówił z cicha, że spadł już raniony z konia, prawie bez zmysłów. Sotnia kozaków pędziła za powstańcami w galopie. Ten i ów kozak, który go spostrzegł leżącego, żgał piką w przelocie, najczęściej w plecy, gdyż leżał twarzą do ziemi.

Nazajutrz raniutko kucharz Wincenty przywiózł z Miechowa felczera p. Tymińskiego. Ten rannego zbadał dokładnie, opatrunki poprawił, odnowił i dał wskazówki dalszego leczenia. Jedna tylko rana była ciężka i niebezpieczna od pchnięcia piką głęboko, tak iż tylko na pół centymetra nie sięgała serca. Przez nią wciągane ustami powietrze wychodziło z płuc przebitych bułkocąc. Inne rany były lżejsze i mniej głębokie, albowiem pchnięcia słabsze tamowało ubranie obeiste. Karmienie chorego było utrudnione, bo miał i wargę górną rozciętą szablą. Póki warga się nie podgoiła karmiono go ostrożnie łyżeczką małą. Dawano rosoly wyborne, lekkie wino, jaja na miękko, mleko i t. p. Młody organizm prędko się wzmacniał, rany ładnie się goiły. Co jakiś czas felczer dojeżdżał i chwalił dobre skutki kuracji bardzo starannej. Przy rannym dniem i nocą zmienialiśmy się kolejno dla nieustannej opieki, głównie mama moja i babcia. Dzieci przynosiły wszystko co potrzeba ostrożnie, skrycie i po cichu, aby nie zwrócić niczyjej uwagi, by rannego nie zabrano i nie nałożono kontrybucji za ukrywanie powstańca.

Nareszcie po kilku tygodniach, gdy już mógł się ubierać i wstawać, Wincenty, jako zaufany stary domownik, odwiózł go nocą do granicy, przez którą przemycił się biedny wojak do Krakowa, skąd właśnie pochodził, jako czeladnik piekarski.

Wszyscy też odechnęliśmy lżej po długich trudach czuwania wpośród ciągłej obawy. Reszta wakacyj upłynęła swobodniej na zwykłych zajęciach gospodarskich. Jeździliśmy często na folwark Dąbrowiec, do wspaniałego lasu jodłowego, obfitującego w prześliczne maliny, poziomki, jeżyny i przeróżne grzyby. To znów na folwark Ludwinów na połów ryb w pięknym stawie, gdzie było mnóstwo dużych karasi złotawych. Żniwa były ładne i urodzaje dobre. W sadach owoce też obrodziły.

Mama w końcu wakacyj siostrzyczkę moją najstarszą Marynię, podówczas dwunastoletnią, odwoziła do zakładu naukowego 4-klasowego i pensjonatu panien w klasztorze Norbertanek w Imbramowicach (o parę mil od Charsznicy) i oddała do klasy I-ej. Na wybór tej uczelni klasztornej wpłynęło nietylko bliskie sąsiedztwo Imbramowic z siedzibą dziadków i znajomość

osobista z księżą i zakonnicami naszej mamy i babki, ale także przekonania klerykalne oraz nastrój ogólny osobisty.

Miasto Kielce, gdzie mieszkaliśmy stale, należało do najbardziej klerykalnych, podobnie jak Miechów dawna siedziba klasztoru Bożogrobców, gdzie równie jak w biskupich Kielcach, nie wolno było mieszkać żydom, aż do czasu ich równouprawnienia za rządu Wielopolskiego. W Kielcach, podówczas miasteczku powiatowem liczącem niespełna 5,000 mieszkańców, prócz wspaniałej katedry N. P. Marji, były jeszcze dwa duże kościoły: św. Trójcy i św. Wojciecha, liczne seminarjum duchowne, administrator diecezji ks. biskup Majerczak, kilkunastu kanoników, wikarych i księży profesorów. Co dzień od świtu odprawiano liczne msze poranne, a w niedziele i święta uroczyste sumy i nieszpory, krom różnych nabożeństw odpustowych i brackich, mianowicie w święta Matki boskiej i inne t. p. W kościołach i zakrystjach roiło się tam ciągle mnóstwo nabożniś. Należało do dobrego tonu być ostentacyjnie religijnym, mianowicie w sferach tak zwanych arystokratycznych, które zasiadały w kościołach w porządku hierarchiczno-biurokratycznym w stałach prezbiterjum i ławkach pierwszorzędných. Na chórach kościelnych popisywały się domorośle śpiewaczki ze swemi głosikami w religijnych pieniach.

Rodzice moi, dla utrzymania stosunków towarzyskich z owemi sferami, stosowali się do zwyczajów przez nie przyjętych, i do owego nastroju klerykalnego, jaki panował też i na wsi wpośród szlachty czyli obywatelstwa ziemskiego, z którego oboje rodzice moi pochodzili. Dwór i plebanja żyły wówczas w ścisłym związku i harmonji ku zobopólnej korzyści, mianowicie w czasach pańszczyzny i dziesięcin duchownych dla utrzymania w poddaństwie i rygorze ludu, służby i robotników rolnych.

Matka nasza najzaczniejsza i najserdeczniejsza w kółku rodzinnem, oddana z całym poświęceniem pracy gorliwej dla swej dziatwy i jej początkowego kształcenia domowego, była szczerze pobożna; ulegała też łatwo przemożnym wpływom klerykalnym swego otoczenia towarzyskiego w Kielcach. Ówczesni kanonicy tameczni: ksiądz Kuliński późniejszy biskup kielecki, ks. Wnorowski potem biskup lubelski, ks. Wincenty Popiel następnie arcybiskup warszawski, wreszcie ks. Domagalski wielce wymowny kaznodzieja i inni księża kieleccy bywając stałymi gośćmi w towarzystwach i domach tamecznych — rozwijali podobnie jak w kościele nieustannie swoją działalność i wpływy przez ostentacyjne nabożeństwa, patetyczne kazania, przeróżne bractwa i inne t. p. środki teokracji.

Zwyczajem też było ówczesnym, że panny ze sfer arystokratycznych i szlacheckich oddawano na naukę do zakładów klasztornych zakonnic, a rodziny nawet mniej zamożne starały

się iść za tym przykładem zgóry, uzyskując pewne ułatwienia w opłatach. W Kielcach była wprawdzie prywatna szkoła 4-klasowa z pensjonatem panien, nie miała jednak dostatecznego uznania ortodoksów.

Siostrzyczka moja najstarsza Marynia, jeszcze przed oddaniem do szkoły klasztornej, wpisana została w Kielcach d. 2-go lutego 1863 r. do tak zwanego „Arcybractwa czci najświętszego i niepokalanego serca N. Marji panny“. Odnośne świadectwo, jakie znalazłem w papierach i dokumentach rodzinnych, wydane za nr. 1103, zostało podpisane przez: zastępcę promotora Arcybractwa księdza Filipa Markowskiego, sekretarza J. Martyńskiego i członka zarządu ks. W. Nowakowskiego z przyłożeniem pieczęci oficjalnej. Na drugiej stronie arkusza owego świadectwa wydrukowano „Wiadomość o przywilejach i obowiązkach zostających w Arcybractwie“. Stowarzyszenie owo, jak tam objaśniono, ustanowione zostało w r. 1836 przez papieża Grzegorza XVI, a nadanie temu stowarzyszeniu tytułu Arcybractwa i zaprowadzenie onego w kościele Bernardynów w Warszawie przez brewe papieskie nastąpiło w r. 1842. Do arcybractwa owego należeć mogą wszyscy katolicy każdego wieku, stanu, płci i wszelkiej narodowości. Przy zapisaniu w poczet członków otrzymują patent z podpisami promotora i dwóch członków, oraz specjalny medaljon do noszenia przy sobie.

Należący do arcybractwa owego obowiązani są do opłaty składki rocznej na utrzymanie osobnych ubiorów kapłańskich, odprawianie nabożeństw arcybractwa, ozdobienie i oświetlenie ołtarza serca N. Marji panny, oraz posługi, a po śmierci swej mają prawo do bezpłatnego nabożeństwa żałobnego i modłów arcybractwa.

Należący do arcybractwa winni codziennie każdego poranku ofiarować sercu N. Marji panny swoje modlitwy, dobrowolne umartwienia, pokuty, jałmużny i t. p. dla uproszenia nawrócenia grzesznych i łaski zbawienia bliźnich. Obowiązani są odmawiać trzy razy na dzień pozdrowienie anielskie czyli „Zdrowaś Marja“ i specjalną modlitwę przepisaną. Obowiązani są do częstych spowiedzi i komunikowania, szczególnie w uroczystościach przez brewe papieskie w tym celu wyznaczone i odpustami zupełnymi uprzywilejowane, a mianowicie: 1 stycznia (czyli dzień imienia Jezus), 20 stycznia (nawrócenia św. Pawła), 2 lutego (oczyszczenia Matki b.), 25 marca (Zwiastowanie), 22 lipca (św. Marji Magdaleny), 15 sierpnia (Wniebowzięcie), 8 września (narodzenie N. P. Marji), w trzecią niedzielę września jako w główną uroczystość niepokalanego serca N. Marji p. Takież odpust zupełny w dzień Matki boskiej bolesnej (w piątek przed niedzielą kwietnią) też pod warunkiem spowiedzi, komunji i odwiedzenia kościoła z ołtarzem arcybractwa, poczynając od niesporów do zachodu słońca w dzień każdej z wymienionych uroczystości. Wreszcie także odpust zupełny w dzień zapisania

się do arcybractwa po spowiedzi i komunji, a nadto w godzinę śmierci członka arcybractwa po spowiedzi i komunji.

Odpustu lat 7 i tyleż kwadragen czyli dni 280 pozyskują ci z arcybractwa, którzy w trzech dniach: Pocieszenia P. Marji (1 niedziela września), Aniołów stróżów (2 października) i Opieki N. P. Marji odwiedzą kościół z ołtarzem serca N. Marji, wyspowiadają się i komunję przyjmą.

Odpustu dni 60 dostępuje każdy z arcybractwa kto na całej mszy codziennej, a osobliwie w dni sobotnie i na innem nabożeństwie arcybractwa znajdować się będzie, pozdrowienie anielskie, modlitwę pańską odmówi i inne pobożne uczynki wypełni.

Wszystkie soboty roku, a osobliwie pierwsze każdego miesiąca, są dniami poświęconemmi sercu N. P. Marji, należy przeto szczególniejszem odznaczać je nabożeństwem, a mianowicie: bywać na odprawiających się o godzinie 9 rano mszach, oraz na niesporach odbywających się w niedziele o godzinie 4, z wystawieniem n. sakramentu i kazaniem; po mszach zaś i niesporach odmawiać lub śpiewać z kapłanem litanję o sercu N. P. Marji, antyfonę „Pod twoją obronę“ i inne modlitwy, oczekując błogosławieństwa n. sakramentem.

Takie są główniejsze przepisy i obowiązki członków Arcybractwa czci serca N. P. Marji, wymienione w patencie wydanym przy zapisaniu doń mojej 12-letniej siostry Maryni. Takie powijaki, jakimi skrzepowane są codziennie nawet tak młodociane umysły niemal dzieci przyjmowanych do różnych bractw tego rodzaju. To też więzy te i wpływy dalszego wychowania sprawiły, że siostra moja, miła i uzdolniona dziewczynka, w późniejszym wieku wstąpiła ostatecznie do klasztoru i zakonu Nazaretanek w Rzymie. Tam bowiem skupiają się wszystkie nici i lejce katolickiej teokracji papieskiej. Siostra moja wciągnięta została w te sieci wtedy właśnie, gdy ja będąc na ukończeniu gimnazjum kieleckiego, zacząłem już targać więzy, jakimi krępowano podówczas swobodny rozwój umysłowy młodzieży szkolnej.

Po odwiezieniu siostry do Imbramowic w końcu wakacyj letnich, mama z młodszym rodzeństwem i ze mną, po pożegnaniu dziadków i wujaszka Bogdana, powróciła do Kielc do domu.

Ja wkrótce zapisałem się w dalszym ciągu na rok szkolny 1863—4 do klasy VII-ej gimnazjum. Sala tej klasy mieściła się na pierwszym piętrze w końcu korytarza od frontu, t. j. od ulicy Krakowskiej, obok księgozbioru gimnazjalnego.

Biblioteka owa nie była zbyt zasobna, i od czasu założenia swego w r. 1845 niewiele się pomnożyła. W r. 1845 obejmowała 2.630 numerów dzieł w 4.455 tomach; w 1862 roku 3.333 numerów dzieł w 5.669 tomach, pism periodycznych 752, atlasów i kart geograficznych 255, pojedynczych wzorów rysunkowych 833, rękopisów 26 tomów. Wartość tego wszystkiego wynosiła 8.635 rubli.

Gabinet fizyczny, chemiczny i matematyczny posiadał przyrządów i narzędzi w r. 1845 egzemplarzy 782, w r. 1862 egz. 1.363 wartości 3 408 rubli.

Gabinet mineralogiczny miał w r. 1845 egzemplarzy 3.364, w r. 1862 egz. 4.098 wartości 670 rubli.

Gabinet botaniczny obejmował zbiór roślin liczący w r. 1862 egz. 2.511 wartości 225 rubli.

Zoologicznych okazów było tam 180

Wszystkie te zbiory były wogóle zaniedbane, zwłaszcza laboratorium chemiczne, skąd bardzo rzadko przynoszono do klas niektóre przyrządy dla czynienia doświadczeń. Przyrządów fizycznych, okazów mineralogicznych, botanicznych i zoologicznych uczniowie nie oglądali nigdy, a profesorowie nie przedstawiali wcale podczas wykładów, ograniczając się na rysunkach szematycznych kredą na tablicy lub na lichych drzeworytach w podręcznikach szkolnych.

Z biblioteki gimnazjalnej, z wielkim trudem, za protekcją profesora Plebińskiego, uzyskałem wypożyczenie francuskiego „Atlasu paleontologii“ Pictet'a, potrzebnego mi do determinacji skamieniałości zebranych przeze mnie w okolicach Kielc i Miechowa, z formacji kredowej i innych.

Profesor Borzęcki Teofil, suchy jak mumja staruszek, dyktował swój również suchy wykład botaniki bez żadnych rysunków ani przedstawiania okazów roślin zasuszonych. Wymagał zaś bardzo drobiazgowego opisu wszystkich gatunków ściśle, niemal dosłownie według swego kursu prowadzonego systemem sztucznym Lineusza, opartym na ilości pręcików i słupków. Wykuwanie pamięciowe przez uczniów takiego martwego wykładu było prawdziwą męczarnią pedagogiczną. Zważywszy przytem, że ów nauczyciel botaniki był niemiłosiernym pedantem, i za najmniejszą niedokładność dawał złe stopnie, wołając z przekąsem: „Dosyć, kapuściana głowo, niemasz pojęcia o rzeczy!“

Tenże sam profesor Borzęcki wykładał nam w klasie VII-ej, również oschle, logikę według podręcznika napisanego i wydane go drukiem przez siebie.

Profesorowie inni byli zresztą ciż sami co i poprzednio. W klasie VII-ej w r. 1863/4 wykładali: naukę religji i historję świętą ks. Franciszek Brudziński, język i literaturę polską Roman Buczyński, j. rosyjski Łukomski (aptekarz kielecki), j. łaciński Piórek, j. grecki Robert Kroemer, j. niemiecki Aspis (ojciec poety Bogumiła A.), j. francuski Pągowski; matematykę (t. j. arytmetykę, algebrę, geometrję, trygonometrję, geometrję wykreslną i analityczną) Czarnecki; fizykę, chemję i mineralogję Edward Plebiński; geografję matematyczno-fizyczną i opisową, miernictwo i niwelację Hipolit Święcicki; botanikę, zoologję i logikę Teofil Borzęcki; historję powszechną i polską prefekt Szmidel, wreszcie rysunków i kaligrafji nauczał Szymon Górnicki.

Rektorem naszego gimnazjum do czasu wysłużenia emerytury był Antoni Formiński, matematyk. Ten zwykle, wraz z asystentem którego z nauczycieli, miewał w zastępstwie wykład na temat specjalny z algebry, swego ulubionego przedmiotu, albo czytywał „Listy z podróży do Włoch“ Józefa Kremiera, jako wzory świętego stylu polskiego.

Wkrótce po naszym wyjeździe z Charsznicy po wakacjach do Kielc, brat mamy wuj Bogdan wyjechał do Krakowa, gdzie wstąpił do tworzącego się oddziału powstańców. Oddział ten składał się głównie z młodzieży arystokratycznej i zamożnej, która ekwipowała się własnym kosztem. Wuj, wówczas młodzieniec 24-letni, wyćwiczony doskonale w fechtunku, strzelaniu ze sztucera i rewolweru, oraz w jeździe konnej, wziął ze sobą ulubionego wierzchowca, pięknego gniadosza i własną broń odpowiednią. Resztę zakupów potrzebnych porobił w Krakowie. Niestety jednak, cały ów oddział wybornie uzbrojony i zaopatrzony, wkrótce po wyruszeniu i przekroczeniu granicy Królestwa kongresowego, został otoczony zewsząd przez przeważające znacznie liczbą wojska rosyjskie, wyparty, i zmuszony do cofnięcia się napowrót do Galicji, gdzie był przez władze austriackie rozbrojony i internowany. Wuj Bogdan, wysłany z towarzyszami swymi do twierdzy morawskiej Iglawy, dość długo tam przebywał, z początku w wilgotnych kazamatach, potem nieco swobodniej na wolnej stopie.

Babka nasza, otrzymawszy hiobowe wieści, pośpieszyła wkrótce do Krakowa, a potem do Wiednia, dla ratowania ukochanego jedynaka. Przy pomocy swej krewnej w Wiedniu baronowej Kraus, której syn Franciszek zajmował w jednym z ministerjów wysoki urząd, oraz paru wpływowych dygnitarzy, po długich staraniach zdołano wuja uwolnić całkowicie, tak że wreszcie na święta Bożego narodzenia mógł przybyć do Wiednia i wigilję przepędzić w kółku familijnem. O powrocie jednak wuja do domu narazie nie można było nawet myśleć. Babka sama wróciła do Charsznicy, aby później po naradzie z dziadkiem przedsięwziąć dalsze kroki w tym względzie.

Jeden z moich kłegów szkolnych nakłaniał mię też w owym czasie do wstąpienia z nim razem do oddziału powstańców. A gdy się na to zgodziłem, i dzień był wyznaczony, nie przybył po mnie wcale, i sam nie poszedł „do lasu“, jak to się wówczas mówiło.

Powstanie zresztą powoli już upadało. Położenie kraju wogóle było coraz gorsze. Rząd rosyjski spostrzegłszy, że wzajemna ku sobie nieufność mocarstw zachodnich wstrzymała akcję dyplomatyczną na korzyść powstania polskiego, zrzucił maskę co do swych intencyj względem Królestwa kongresowego, i polecił hr. Bergowi, którego mianował general-gubernatorem wojennym i cywilnym, naśladować satrapę litewskiego Murawjewa. Liczne kolumny ruchome żołdactwa snuły się po kraju,

roznosząc mord i zniszczenie. Zamach na Berga, dokonany w Warszawie dnia 19 września 1863 r., wywołał straszny odwet na mieszkańcach pałacu hr. Zamojskiego, skąd rzucone były pociski wybuchowe. Nakładano wszędzie kontrybucje, wywożono tysiącami na Syberję i do rot aresztanckich, we wszystkich miastach wieszano patrijotów *).

Więzienia napełniały się jeńcami i aresztowanymi członkami organizacji powstańczej. W Kielcach wszechwładnym naczelnikiem wojennym był generał Czengery, a kapitan pułku tak zw. Smoleńców polak Bentkowski, pijanica, rabuś i okrótnik głośny, w licznych swoich wyprawach pastwił się gdzie tylko mógł nad powstańcami, których udało się mu pochwytać. Całe szeregi jeńców takich przyprowadzano do Kielc głównymi ulicami, rozsuwając ich luźno w długie linje, aby tem pokazniej przedstawiała się zdobycz. Wojenna komisja śledcza też nie próżnowała. U generała Czengerego był w łaskach pewien proboszcz z okolicy Kielc, i miał wpływ znaczny, tak że nieraz udawało mu się uwalniać jeńców i skazańców.

Wobec przepełnienia więzień i mnóstwa spraw w komisji wojennej w Kielcach, przybywało tam mnóstwo osób starających się o uwolnienie więźniów, lub ulżenie w ich ciężkiem położeniu. Do rodziców moich zjechało też w listopadzie 1863 r. parę pań: krewna mamy p. Zielińska i p. G. siostra p. Gombortala uwięzionego w Kielcach, oraz wuj Daniewski szwagier mamy dla ratowania kuzyna Antoniego Lisowieckiego, oddanego pod sąd wojenny. Po długich, usilnych staraniach i kosztach wielkich, udało się nareszcie uwolnić owych dwóch młodzieńców, ku wielkiej radości wszystkich. Po wyczynku parodniowym goście nasi rozjechali się do siebie. Nastąpił znów cisza w domu, niezbędna w mojej szkolnej nauce, do której wziąłem się z całą gorliwością, tak, że w klasie VII-ej zdobyłem miejsce prymusa.

Po ustąpieniu margrabiego Wielopolskiego jako naczelnika rządu cywilnego w Warszawie (którego godność piastował on od 8 czerwca 1862 r. do 12 września 1863) dziadek nasz Wincenty Piątkowski, jako gubernator cywilny w Radomiu podał się do dymisji, i otrzymał ją z końcem roku 1863, z przyznaniem emerytury, którą w całości uzyskał.

Dziadek nasz przygębiony nieszczęściami kraju, stroskany rabunkiem swej pięknej galerji obrazów, bogatej biblijoteki i zbiorów naukowo-historycznych, pożarem domu swego w Miechowie, oraz utratą znacznej części majątku, zapragnął przed opuszczeniem pałacu gubernatorskiego w Radomiu, ucieszyć się w kółku rodzinnem widokiem wnucząt i córek swych bliżej mieszkających. Dla tego na Święta bożego narodzenia, prócz wujostwa Daniewskich z synkiem kilkoletnim Włodziem, przeby-

*) Limanowski „120-letnia walka narodu polskiego“ Kraków, 1916.

wających stale w Radomiu, wezwał moich rodziców, abyśmy wszyscy przybyli na wilję do niego. Ojciec mój zawczasu na parę dni pierwej zamówił wszystkie miejsca wewnętrzne w karcie pocztowej, kursującej codziennie z Kielc do Radomia. Pogoda była piękna i powietrze łagodne. Jeden tylko podróżny zajął miejsce na przodzie kurjerki. Rodzice, ja, siostrzyczka Hania 7-letnia, mała Milunia 2½-letnia z nianią Marcjaną i braciшек 4-letni Miecio, usadowiliśmy się wewnątrz wygodnie i zacisznie. Przybyliśmy do Radomia szczęśliwie i naczas. Powóz dziadka oczekiwał nas na poczcie, ale kurjerka dzięki uprzejmości naczelnika poczty i konduktora odwozła nas na miejsce przed pałac rządu gubernialnego. Dziadzio, ucieszony naszym przybyciem, zeszedł na schody przed ganek, wziął sam na ręce naszą maleńką siostrzyczkę Milunię, i zaniósł ją na górę. Wkrótce rozgościliśmy się i ogrzali. Przybyli też zaraz wujostwo Daniewscy z dziećmi ze swego domu. Uczta wigilijna była wspaniała. Choinka dla dziatwy równie świetna z mnóstwem zabawek przeróżnych, łakoci rozmaitych i pięknych książeczek z obrazkami. Dziadzio co wieczór kazał zwoływać chłopców z szopką i kołędników z gwiazdą dla zabawy wnucząt. Od babci przyszły wcześniej listy z życzeniami i wiadomościami pomyślnemi o wujaszku Bogdanie, który z nią, po uwolnieniu z kazamatów Iglawy, przepędził jednocześnie Święta bożego narodzenia u babci Krauzowej w Wiedniu. Tylko nasza starsza siostrzyczka Marynia musiała zostać przez ferie zimowe w Imbramowicach w pensjonacie klasztornym. Wkrótce po świętach, z powodu krótkiego urlopu sądowego ojca naszego, wróciliśmy do Kielc, tak samo karetą pocztową szczęśliwie. W drodze spotkaliśmy kilka oddziałów wojska, ale minęły nas spokojnie.

Po powrocie do domu wzięliśmy się po świętach wszyscy do zwykłej pracy. Ojciec wieczorami w swoim pokoju, przy dużym stole, oświetlonym jasno lampą olejną, nad stosami akt sądowych trybunału cywilnego. Ja przy ojcu nad lekcjami zadanemi i rozczytywaniu się w ulubionych dziełach przyrodniczych. Mama zajęta była w swoim pokoju szyciem i początkami nauki z siostrzyczką Hanią. Młodsze dzieci Miecio i Milunia bawiły się z nianią w pokoju jadalnym.

W tem niespodziewanie, gdy wszyscy późnym wieczorem styczniowym zabieraliśmy się do spoczynku nocnego, koło godziny 10-tej, na schodach w sieni dał się słyszeć tupot nóg i brzęk szabel złowrogi, jak piorun spadły z cichego nieba. Ojciec wyszedł do drzwi zobaczyć co się dzieje. Rozkazano otworzyć! Do pierwszego pokoju za ojcem wszedł z sieni naczelnik żandarmów z oficerem i wachmistrzem, oznajmiając, że przyszli zrobić rewizję domową. Pokój za pokojem przeglądali wszystkie kąty i sprząty. Ojciec szepnął mamie, aby ukryła „Śpiewy historyczne“ Niemcewicza z biblioteki zanim tam zaczął szukać. Ta niewinna książka była wówczas zakazana surowo.

Mama oddała mi ją, i poleciła wyteść ostrożnie do sąsiadów. Wyrząłem na schody — były puste. Ukryłem książkę pod mundurkiem; nadole też nikogo nie było. Przy drzwiach od ulicy widać było żołnierzy z karabinami strzegących wyjścia. W ciemnościach nocy wysunąłem się niespostrzeżony na podwórze, do znajomej sąsiadki pani I*, matki owej uroczej córeczki, która kazała mi pilnować książek zamiast jej pięknych oczu błyszczących jak gwiazdy. Prosiłem o przechowanie owych „Śpiewów historycznych“ i pozostałem tam jakiś czas. Wyrząłem znów na ulicę — nie było już nikogo. Wróciłem do mieszkania, i zastałem wszystko poprzewracane, jak podczas pożaru. Mianowicie w pokoju ojca: szafy i szuflady poroztwierane, książki i papiery na ziemi porozrzucane. Rewizję robiono widocznie pośpiesznie. Nic nie znaleziono na szczęście. Ale mimo to biedny mój ojciec, według rozkazu został aresztowany i zabrany zaraz do więzienia! Mama zrozpaczona uspokajała dziecięcą płaczącą za ojcem. Nad ranem dopiero zrobiono trochę ładu, i uciszyło się nieco. Mama pobiegła odwiedzić ojca, i zniosła mu śniadanie. Niestety, o szybkim uwolnieniu nie mogło być mowy narazie. Przeciwnie, wkrótce wywieziono ojca z innymi więźniami do Radomia, w celu prowadzenia śledztwa w komisji wojennej gubernialnej. Na domiar złego, dziadzio nasz, otrzymawszy uwolnienie jako radomski gubernator cywilny, wyjechał na wieś do Zagórza, i nie mógł pomagać osobiście do uwolnienia ojca naszego. Mama tylko, przy pomocy siostry swej ciotki Eugenji Dąbrowskiej i jej męża mieszkających w Radomiu, śledziła przebieg sprawy ojca, i niosła ulgę w jego ciężkiem położeniu. Po kilku wreszcie miesiącach, gdy nadeszła wiadomość od ciotki, że można już i należy działać usilniej, mama, wzięwszy z sobą młodszą córeczkę 7-letnią Hanię, pojechała do Radomia, zostawiając na mojej pieczy cały dom i młodsze rodzeństwo.

Nie zaniedbując bynajmniej moich zatrudnień szkolnych, starałem się usilnie utrzymać w domu wszystko w należytem ładzie. Mama zostawiła mi fundusz dostateczny na wydatki, które zapisywałem ściśle i prowadziłem oszczędnie, aby nam nie zabrakło grosza. Wrazie potrzeby miałem się udać o pomoc i opiekę do naszych dobrych znajomych. Miałem jednak wielkie zmartwienie podówczas. Mała moja siostrzyczka Milunia zachorowała na płuca. Wezwałem natychmiast znajomego naszego doktora Andrzejewskiego, znakomitego lekarza kieleckiego. Prócz zapisania recepty, kazał on zaraz postawić pijawki. Była z tem trudność nielada. Gdy przyszedł felczer, wzięłem siostrzyczkę otuloną ciepło na kolana, i na stole pokazywałem jej ładne obrazki w moim „Atlasie zoologicznym“ kolorowanym: śliczne ptaszki, różnobarwne papugi, motyle, ogromne węże, ryby i t. p. Mała tak była tem zajęta, że nie spostrzegła wcale jak felczer przystawił jej kilkanaście pijawek na plecach oraz na boczku, i odjął po krótkim czasie. Dalsza kuracja przy troskliwej

pomocy doktora i starannej opiece niani poszła szczęśliwie i Milunia wyzdrowiała niedługo.

Mamie też udało się nareszcie uwolnić drogiego ojca naszego z więzienia w Radomiu. Uprosiła posłuchanie u gubernatora wojennego generała Belgarda, poszła doń z córeczką Hanią w żałobnych sukniach, i podała prośbę na piśmie. Generał przejrzał prośbę, popatrzał na małą Hańdzię, pogłaskał ją po główce i rzekł: „Nie płacz maleńka, ojciec będzie zaraz wolny!“ Zawołał adjutanta, kazał przynieść sobie akta sprawy ojca, przejrzał wyrok uniewinniający wydany już przed paru dniami, i napisał pod nim gniewnie: „Siejczas oswobodit!“ (Natychmiast uwolnić!). Rozkazał adjutowi jechać z mamą i siostrzyczką do więzienia, i uwolnić ojca bez żadnej zwłoki...

Ojciec, choć uwolniony, osłabiony był bardzo i niezdrowszy po niewygodach i przykrych przejściach śledztwa w więzieniu, w którego ponurym podwórzu wykonywano często wyroki kary śmierci nad skazanymi przez sąd wojenny. Ojciec w celi swojej przez okno słyszał straszne odgłosy: brzęk kajdan, szczęk broni, warczenie bębnow... Zapadał na serce, a gdy prosił o poradę i pomoc lekarską, doktor więzienny do wzywającego dozorcę krzyknął: „Pust' on podochniet!“ (Niech zdychał!).

Później wykryło się, że ojca mego i dziadka oskarżył fałszywie nikczemny donosiciel, kancelista podrzędny, którego dziadek wydalil ze służby za łapownictwo i różne brudne nadużycia. Dziadka nie poddano śledztwu, bo wiedziano o fałszu donosu i o stratach ogromnych, jakie poniósł przez rabunek i pożar domu swego w Miechowie. Ofiarą denuncjacji padł mój ojciec, bo oskarżenia nie chciano zostawić całkiem bez skutku.

Ojciec, wypocząwszy parę dni w Radomiu u wujostwa Daniewskich, powrócił wreszcie szczęśliwie z mamą i siostrzyczką do Kielc. Radość z uwolnienia ojca drogiego była w domu wielka. Zwolna, wróciło u nas wszystko do dawnego trybu.

Pomimo różnych zajęć politycznych i niepokoїв rodzinnych w ostatnim roku mojej nauki gimnazjalnej 1863/4 w klasie VII-mej, przy usilnej pracy zajmowałem stale miejsce prymusa. Staralem się też zachęcać kolegów do pracy oświatowej w najbliższym otoczeniu. W tym celu utworzyłem kółko koleżeńskie dla założenia czytelnicy uczniowskiej. Zebraliśmy fundusz na zakupno książek, i wybraliśmy kolegę Feliksa Rybarskiego na gospodarza. Po zakupie książek, oddano je wszystkie do oprawy, policzbowano, i wypożyczano kolejno do czytania. Były tam między innymi na czele: „Pisma Adama Mickiewicza“, w wydaniu warszawskiem Merzbacha mocno okrojone przez cenzurę rządową. Ja z nich na początek wzięłem do studjów Wykłady o literaturach słowiańskich, potem Poezję i t. p. Były też w tym księgozborze naszym cenniejsze powieści historyczne i współczesne: Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Korzeniowskiego i in. Co miesiąc wnosiliśmy małe składki na dalszy zakup no-

wości, i tak zapoznawaliśmy się z utworami celniejszych autorów. W końcu roku szkolnego ostatniej klasy VII-ej rozlosowaliśmy owe książki między wszystkich uczestników. Założenie tej czytelni zbiorowej przeze mnie było pierwszym moim krokiem na drodze propagandy oświatowej, której się później poświęciłem w szerokim zakresie.

W klasach wyższych gimnazjum kieleckiego bywało uczniów mniej jak w niższych, które liczyły po sto lub kilkadziesiąt młodzieży. Wielu bowiem poprzestawało na ukończeniu klas czterech tylko. Uciążliwe egzaminy coroczne na promocję z klasy do klasy zmniejszały stopniowo liczbę uczniów klas wyższych, tak iż w klasie VII-ej było nas w ostatnim roku szkolnym 1863/4 tylko 17-tu kolegów. Z pośród nich przyjaźniłem się bliżej jak dawniej z Aleksandrem Bierzyńskim i Feliksem Holewińskim synem mecenasa (który należał do miejscowej organizacji powstania). Kolega Feliks miał też różne broszury polityczne, regulaminy mustry wojskowej, podręczniki szermierstwa i t. p., a także przybory fechtunku, w którym ćwiczyliśmy się zwykle w jego mieszkaniu przy ulicy Wesołej. Chodziliśmy też często razem na spacer w okolice Kielc, prowadząc nieraz ożywione rozprawy, lub snując plany i projekty na przyszłość. Nęcił nas zawód nauczycielski, któremu zamierzaliśmy się poświęcić po ukończeniu studjów uniwersyteckich.

Raz w piękny dzień wiosenny wybraliśmy się z czwartym jeszcze kolegą Stanisławem B., na górę Karczówkę przy szosie krakowskiej. Po wypoczynku w cienistym lesie sosnowym, poszliśmy zwiedzić kościół i klasztor bernardynów na szczycie góry położony. Oprowadzał nas, i udzielał objaśnień młody braciszek bernardyn, w brązowym habicie przepasany białym sznurem, znajomy kolegi B., a w końcu zaprosił nas dla odpoczynku do swojej celi. Był to mały pokójki wybielony czysto wapnem, o jednym oknie, z ładnym widokiem na okolicę. Proste łóżko drewniane, stolik pod oknem, parę stołków i mała szafka stanowiły całe jego skromne umeblowanie. Młody gospodarz w braku stołków usadowił nas na brzegu łóżka. Wysunął szufladkę stolika napełnioną grubym tytoniem, podał bibułki dla skręcenia papierosów, a sam nałożył sobie fajeczkę na krótkim cybuszku kieszonkowym, i zapalił świeczkę w lichtarzu mosiężnym. Ja podziękowałem jako niepalący wcale tytoniu. Koledzy zapalili papierosy; ostry przykry dym napełnił wkrótce małą celę. Na domiar gościnności braciszek bernardyn otworzył szafkę, wyjął z niej małą beczuleczkę z kranikiem drewnianym, ustawił na stole i natoczył wódki prostej do kilku szklaneczek. Koledzy wnieśli ochoczo zdrowie gospodarza. Ja rad nierad łyknałem trochę, lecz zakaszałem zaraz, bo wódka była mocna, a ja nie-nawykły do takiego trunku.... Pożegnaliśmy wkrótce braciszka, dziękując za łaskawą gościnę. Dziwnem mi się to wszystko wydało, inaczej bowiem wyobrażałem sobie życie i zwyczaje kla-

sztorne, zwłaszcza po świeżych wykładach historii świętej Kościoła, w których nasz ksiądz prefekt Brudziński przedstawiał w apoteozie świętych założycieli zakonów klasztornych i ascetyczny żywot mnichów. Naga rzeczywistość stanęła nagle w brutalnej sprzeczności z owymi idealnymi postaciami z dziejów kościelnych.

Wkrótce potem nadszedł tydzień dorocznej spowiedzi wielkanocnej, do której przystępowało kilkaset uczniów naszego gimnazjum. Pomimo licznych księży świeckich kieleckich, do pomocy w słuchaniu spowiedzi sprowadzono też kilku bernardynów z Karczówki. Do gromadki uczniów przy jednym konfesjonale z ojcem bernardynem należałem i ja. Wieczór wczesny zapadł, więc dość prędko załatwiał się z penitentami nasz spowiednik. Jego postać gruba, twarz pełna czerwona, nabrzękła i głos chrapliwy nie budziły sympatji. Przyszła kolej na mnie; ojciec bernardyn pochylił się do okienka, jego oddech gorący owionął mnie wonią mocnej wódki i ostrym zapachem tabaki. Nad wyraz przykre dla mnie było to wrażenie. Częste naglące pytania owego spowiednika: Co więcej? cóż dalej!? i głos przerywany kaszlem, nie pozwalały na skupienie myśli i wprowadzały zamęt w pamięci i w ułożonych naprzód wyznaniach, które musiałem przyśpieszać, gdy w tem nagle tubalne kichnięcie bernardyna opryskało mi twarz tabaką, a jego brudna chusta którą nos wycierał owionęła mnie znów przykrą wonią. Mimowoli pochyliłem głowę nisko i usłyszałem głuche pukanie rozgrzeszenia. Rozczarowany grubo, z nieufnością głęboką do konfesjonału i do spowiedników, wyszedłem coprędzej z kościoła odetchnąć świeżem powietrzem i ochłoniąć z owych przykrych wrażeń! Była to ostatnia moja spowiedź...

Pierwotna dziecięca, ślepa wiara, zaszczepiana systematycznie i usilnie przez katechizm nierozumiany często, wyuczany pamięciowo tylko, tak jak się wyucza mówić młode papugi, topniała z wolna pod wpływem wykładów szkolnych w klasach wyższych. Mianowicie wobec sprzeczności rażących między wykładami naciąganymi i tendencyjnymi historii Kościoła i herezji przez księdza prefekta, a wykładem pełnym życia i zapału nowego naszego profesora Szmidla dziejów powszechnych, zwłaszcza o wielkiej Reformacji religijnej Lutra i Wielkiej Rewolucji francuskiej. Nurzące wielogodzinne rekolekcje szkolne przedspowiednie, monotonja i powtarzanie codzienne jednych i tych samych modlitw mszalnych na przymusowym nabożeństwie latem i zimą o świecie, często w dokuczliwe mrozy w lodowatym kościele — wszystko to czyniło coraz bardziej przykrem i nieznośnym wykonywanie niezliczonych obrządków kościelnych i religijnych i podcinało wiarę w ich niezbędność....

Natomiast instynktowne ukochanie przyrody, wpośród przepięknych krajobrazów naszej Polskiej ziemi, począwszy od dziecięcych przechadzek z matką na kwieciste łąki i pola, aż do

dalszych wycieczek z ojcem w okolice Kielc, Łysogóry i Tatry — wyradzało coraz większą niechęć do sztucznych teatralnych nabożeństw w kościołach dusznych i ciemnych. Nastrój ten antykościelny potęgowało jeszcze bardziej rozczytywanie się w arcytworach poezji obcej i polskiej Mickiewicza, Słowackiego, Kraśińskiego, Wiktora Hugo i in. Sprzeczności między nauką biblijno-mojżeszową oraz żydowsko-chrześcijańską o stworzeniu świata — a nauką geologii o stopniowym rozwoju globu ziemskiego — wstrząsały do najgłębszych podwalin dawne moje wierzenia katechizmowo-religijne...

Na wiosnę 1864 roku ojciec mój uzyskał nowy awans w sądownictwie.

Prezes sądu kryminalnego w Kielcach Adamski zakomunikował ojcu reskrypt warszawskiej Komisji rządowej sprawiedliwości, dotyczący owego awansu z dołączeniem nominacji następującej, jako: „Rada administracyjna Królestwa polskiego, postanowieniem z dnia 1 marca 1864 r. nr. 1686, mianowała p. Eustachego Czarnowskiego asesora trybunału cywilnego w Kielcach — sędzią prezydującym w Sądzie policji poprawczej wydziału jędrzejowskiego, z płacą do urzędu tego przywiązaną (rubli 825 rocznie). Wierzytelny odpis powyższego postanowienia załącza się dla doręczenia p. Czarnowskiemu, po dopełnieniu instalacji i uiszczeniu dodatkowej opłaty patentowej. Raport o skutku zastrzeżę się“.

Podpisali: Członek komisji sprawiedliwości zarządzający wydziałem administracyjnym, rzeczywisty radca stanu: Sadekowski, — naczelnik kancelarji: Zaborowski.

Reskrypt powyższy Komisji rządowej sprawiedliwości nosi datę 14 marca 1864 r., a zakomunikowany został ojcu przez prezesa Sądu kryminalnego w Kielcach dnia 3 czerwca t. r.

Instalacja ojca w Chęcinach odbyła się w tydzień później według protokołu następującego:

„Działo się w miejscu posiedzeń Sądu policji poprawczej wydziału jędrzejowskiego w Chęcinach, dnia 7 czerwca 1864 r.: Wskutek polecenia JW-go Prezesa sądu kryminalnego gubernji radomskiej z dnia 4 czerwca r. b., na podstawie nominacji przy powołanem poleceniu załączonej Eustachemu Czarnowskiemu mianowanemu Sędzią prezydującym w tutejszym sądzie przez Radę administracyjną Królestwa polskiego pod d. 1 marca r. b. — tenże nowomianowany sędzia przybywszy w dniu dzisiejszym do sądu tutejszego, po złożeniu nominacji udzielonej jemu, i dokasowaniu stempla nominacyjnego w ilości rs. 5, na urząd nowo mu przeznaczony zainstalował się i służbę od Masłowskiego asesora tutejszego sądu, obecnie sędziego prezydującego zastępującego, odebrał według oddzielnie w tym względzie spisane go protokołu. W dowód czego niniejszy protokół przez instalującego się, jako też przez obecnych przy instalacji członków sądu tutej-

szego podpisany został. Podpisani: Eustachy Czarnowski, Masłowski, Ereth, Holtz, Pieściorowski, Leśkiewicz, Kucharski.

Podczas gdy ojciec wyjechał na nowe urzędowanie, mama w Kielcach przy pomocy stolarza i jego czeladników, kierowała pakowaniem i wysyłką mebli oraz rzeczy domowych. Ojciec w Chęcinach wynajął mieszkanie w zachodniej części miasta w domu № 275 starej kamienicy z ogrodem, przerobionej z dawnego kościoła, o bardzo grubych murach. W ogrodzie przy kopaniu znajdowano tam jeszcze gdzieś kości ludzkie, jako ślady cmentarza otaczającego ów budynek. Parter zajmował komornik miejscowy. Mieszkanie nasze było na piętrze. Składało się z dużej sieni, kuchni i kilku pokoi, z pięknym widokiem wokoło na ruiny zamku chęcińskiego góry skaliste i lasy.

Od 1-go lipca trzeba było opuścić mieszkanie w Kielcach dla nowych lokatorów, więc mama z młodszym rodzeństwem, zabrawszy resztę drobnych naczyń i sprzętów, wyjechała do ojca.

Ja dla ukończenia egzaminów ostatecznych, czyli matury z VII klasy, musiałem jeszcze pozostać w Kielcach parę tygodni. Nasi życzliwi znajomi państwo Różyccy, wyjeżdżając na lato na wieś do swego majątku Żerniki w Stopnickie, pozwolili mi zamieszkać w jednym z pokoi swego apartamentu w dyrekcji Towarzystwa kredytowego ziemskiego, której p. Różycki był prezesem. Co rano na śniadanie stróż domu przynosił mi mleko, którego połowę zostawiałem na wieczór i surowe z bułkami wypijałem. Obiady jadałem przez ów czas w pobliżu w dawnej mojej uczelni Hillera, razem z tamecznymi pensjonarzami. W ciszy i spokoju przygotowywałem się do matury.

Wśród tej mozolnej pracy do egzaminu ostatecznego z licznych przedmiotów gimnazjalnych, w upalny dzień lipcowy po południu, przy wyjściu z dusznej klasy naszej, kolega Ostromyśliński, jedyny wśród nas małorus, zaprosił wszystkich kolegów do siebie na małą ucztę. Mieszkał on u swej starszej siostry, która wtedy właśnie z mężem wyjechała na Ukrainę do swojej rodziny, i zostawiła spore zapasy konfitur oraz soków owocowych swojemu bratu. Wobec tego „ambarras de richesse“ kolegi Ostromyślińskiego chętnie udaliśmy się gromadnie do jego obszernego mieszkania w starodawnym domu z podcieniami na rogu rynku obok magistratu, na I piętrze. Przyniesiono dzbany pełne świeżej wody źródlanej. Na wielkim stole dębowym ustawiono stoje z konfiturami i butle z sokami. Zajadając i orzeźwiając się pysznym napojem, piliśmy całymi szklankami zdrowie gościnnego gospodarza, śpiewając gromko różne pieśni studenckie.

Po tej miłej rozrywce koleżeńskiej, żwawo znów zabraliśmy się wszyscy do dalszej pracy nad egzaminami.

Ja, w moim tymczasowym pustym mieszkaniu, pracowałem spokojnie w śród ciszy, i wkrótce zdałem pomyślnie egzamina

ústne ze wszystkich przedmiotów. Z łaciny zadano nam do napisania w klasie, bez przygotowania żadnego, temat: Ostatnie chwile Juljusza Cezara; i z tem zadaniem podwójnem językowo-historycznym z łatwością sobie poradziłem.

Przy zamknięciu roku szkolnego i rozdawaniu patentów ja jeden tylko, jako pierwszy uczeń w klasie VII-ej otrzymałem nagrodę, książkę pięknie oprawną: „Zoologję“ Jarockiego z licznymi rycinami, oraz patent na blankiecie drukowanym, formatu arkusza kancelaryjnego, treści następującej:

„Rektor i zgromadzenie nauczycieli gimnazjum w Kielcach:

„Młodzian Czarnowski Stanisław obyczajami chwalebniemi zalecający się, wieku lat 17 liczący, po ukończeniu kursu nauk w szkole naszej, pragnąc przekonać nas jaką korzyść z takowych odniósł, wypracował pod naszym okiem i bez obcej pomocy rozprawy w języku polskim i łacińskim, na tematy przez nas zadane; gdy w ten sposób dowiódł tak umiejętnego władania obu językami, jak i dostatecznej dojrzałości umysłu, poddany został ustnemu egzaminowi, na którym okazał postępy następujące:

„W nauce religji i historii św.	celujący,
w języku polskim i literaturze	„
w języku rosyjskim	dostateczny
w języku łacińskim	celujący
w języku greckim	„
w języku niemieckim	„
w języku francuskim	„
w logice	„
w arytmetyce	dostateczny
w geometrji	„
w miernictwie	„
w niwelacji	„
w algebrze	„
w trygonometrji	„
w geometrji wykreślnej	„
w mechanice	„
w geometrji analitycznej	„
w fizyce	celujący
w geografji matemat.-fizycznej	dostateczny
w chemji	celujący
w zoologii	„
w botanice	dostateczny
w mineralogji	celujący
w geografji powszechnej	dostateczny
w historii powszechnej	celujący
w historii polskiej	„
w kaligrafji	„
w rysunkach	celujący.

„O takowem uzdolnieniu młodziana Czarnowskiego Stanisława poświadczając, mamy nadzieję, że tenże w dalszym biegu życia pracowitością i pielęgnowaniem nauk, jakich początki tu odebrał, przyniesie korzyść społeczeństwu, do którego wchodzi, a chlubę szkole, którą opuszcza. W Kielcach 3/15 lipca 1864 roku“. (Miejsce pieczęci z napisem w otoku: Gimnazjum w Kielcach, z orłem czarnym dwugłowym rosyjskim z tarczą z orłem białym polskim na piersiach tegoż). Podpisani:

Rektor, radca dworu: Formiński.

Prefekt gimnazjum: Szmidel.

Nauczyciele: Ks. Brudzyński, Kroemer, Łukomski, Buczyński, Święcicki, Piórek, Plewiński, Borzęcki, Czarnecki, Pągowski, Aspis, Górnicki.

Po tak pomyślnem ukończeniu mozolnych egzaminów ostatecznych i VII klasy gimnazjum, odetchnąłem swobodnie z uczuciem wielkiej ulgi, równie jak wszyscy moi koledzy.

Po południu 15 lipca 1864 roku zaraz po akcie urzędowym zakończenia ostatniego roku szkolnego i pożegnaniu z nauczycielami, udaliśmy się gromadnie wszyscy maturzyści, w liczbie 17-tu, do ogrodu kolegi Feliksa Rybarskiego, za domem jego ojca na przedmieściu krakowskiem. Tam w cieniu starych lip i jabłoni na zielonych trawnikach rozłożeni wygodnie, po rozłosowaniu książek z naszej czytelnicy studenckiej, zrobiliśmy małą składkę na wino.

Wkrótce dwóch kolegów przyniosło z miasta duży gąsior pysznego węgryzyna, i gromko zabrzmiał wesoły chór młodzieży znaną pieśnią:

Hej koledzy w górę szklanki,
Každy zdrowie swej kochanki!

Pijmy na cześć Mickiewicza!
Bo nam słodkich chwil użycza
Jego lutni dźwięk

Na pogawędce i śpiewie chóralnym ulubionych pieśni studenckich i patriotycznych zeszedł nam ten pamiętny ostatni wieczór pożegnalny. Wśród życzeń wzajemnych i serdecznych uścisków dłoni rozeszliśmy się gromadkami do domów na zasłużony po znojnjej pracy spoczynek.

Odespawszy nieco dłużej nazajutrz za wszystkie niedospane ranki dni egzaminowych, zaraz po śniadaniu wybrałem się do publicznego ogrodu kieleckiego, gdzie nadeszli też wkrótce dwaj moi koledzy przyjaciele Felek Holewiński i Olek Bierzyński. Poszliśmy, dla rozruszania się po siedzącym życiu szkolnem, na dalszą przechadzkę na górę Karczówkę. Dzień był piękny słoneczny lipcowy. Na szczycie góry pośród starych sosen, za wysokim murem klasztoru, od strony południowej słońce dogrzewało przyjemnie. Na mchu miękkim puszystym, wśród bujnego kwiecia leśnego, legliśmy wszyscy trzej, wycią-

gając się rozkosznie. W tem ustroniu leśnem przejętem balsamiczną wonią żywiczną, panowała błoga cisza. Tylko motyle barwne kołysały się w promieniach słonecznych, przelatując z kwiatu na kwiat; albo pszczoła miody zbierająca zabrzęczała od czasu do czasu. W milczeniu głębokiem, puściliśmy wodze marzeniom o przyszłych swoich losach, pograżając się w miłym „far niente“. Po długim wypoczynku, ruszyliśmy rażno z powrotem do miasta, żegnając się i życząc przyjemnych feryj letnich a szczęśliwego spotkania w Warszawie w murach uniwersyteckich Szkoły głównej.

Na drugi dzień spakowałem moje rzeczy i książki do kuferka, oddałem klucz od czasowego mieszkania stróżowi Dyrekcji Towarzystwa kredytowego ziemskiego, zapłaciwszy mu za usługę, i wsiałem do najętej dorożki.

Do Chęcina! krzyknąłem na woźnicę. Ruszył dziarsko przez miasto. Przejeżdżając koło Gimnazjum rzuciłem jeszcze raz pożegnalne spojrzenie na mury starej uczelni, na piękny ogród publiczny naprzeciwko, i na spotkane po drodze ładne dziewczęta kieleckie....

Bywajcie zdrowe Kielce kochane!

Gładką jak stół szosą krakowską, minawszy malownicze skały dewońskie góry Kadzielni, lasy Karczówki, kwieciste łąki Słowika nad rzeczką Bobrzą, wkrótce przebyliśmy mil parę. Na tle jasnego nieba i południowego blasku słońca zarysowała się ciemna sylweta zamku chęcińskiego, z trzema basztami na wyniosłej górze, z przytulonem do niej miasteczkiem marmurowem.

Rodziców i rodzeństwo zastałem przy obiedzie. Uścisków radosnych powitań i pytań nie było końca. Na stole złożyłem moją złocisto oprawną nagrodę i patent gimnazjalny! Ojciec kazał przynieść wina z piwnicy i wypił za moje zdrowie, błogosławiąc mi razem z matką na dalszą drogę życia. Ja wzniósłem toast na cześć i zdrowie rodziców najdroższych, dziękując im z głębi serca za naukę i wykształcenie, jakie odebrałem przy ich pracy, trudach i mozolach ponoszonych z prawdziwym poświęceniem. Siostrzyczki tymczasem oglądały ładne obrazki w mojej nagrodzie.

Po obiedzie poszliśmy wszyscy na przechadzkę, zwiedzić ruiny starego zamku, z którego murów roztaczał się wokół wspaniały widok górski.

W końcu lipca ojciec, dla poratowania zdrowia nadwreżonego uwieżeniem politycznym, otrzymał urlop feryjny na dni 20.

Mama, po urządzeniu się na nowem mieszkaniu w Chęcinach, wybrała się jak zwykle na lato ze mną i młodszem rodzeństwem do swych rodziców do Zagorza.

Ojciec wkrótce potem 6 sierpnia 1864 roku wyjechał przez Kielce i Busk do Zhorowa, do dziadka Karola Godeffrego,

aby w jego zakładzie w Solcu prowadzić kurację kąpielową przez kilka tygodni.

Dziadek nasz Wincenty Piątkowski, po uzyskaniu uwolnienia z urzędu gubernatora kielecko-radomskiego i odpowiedniej emerytury, powrócił na wieś na stałe, i zajął się gospodarstwem na swej dzierżawie rządowej pod Miechowem w Zagórzcu, Siedliskach i Strzeżowie oraz w dobrach swoich Charsznicy, przy pomocy babki i rządców.

Miechów, zniszczony po nieszczęsnej bitwie lutowej 1863 r., zaczął się powoli odbudowywać. Początkowo jednak całe życie miasteczka i okolicy skupiało się jedynie w kościele i plebanji, w gmachu poklasztornym, w którym się mieścił zarząd powiatu i kasa, oraz w kilku domach ocalałych przy zachodniej pości rynku obok kościoła, a wreszcie na ubogim przedmieściu Janowie nad rzeczką Miechówką.

Smutne to były czasy w całej Polsce!

Powstanie upadało. W Warszawie 5 sierpnia 1864 r. członkowie Rządu narodowego, więzieni od wiosny w cytadeli: Romuald Traugut, Józef Toczyski, Roman Żuliński, Jan Jeziorański i Rafał Krajewski zostali straceni przez powieszenie!

Smutno też było we dworze w Zagórzcu. Dziadek, otrzymawszy asekurację, przed żniwami jeszcze odbudował spalone stodoły z materiału własnego z lasu charsznickiego. Ładny śpiichlerz murowany ocalał, dach tylko na nim poprawiono. Machiny rolnicze: młocarnię, siewczkarnię, wialnię i kierat czterokony sprowadzono całkiem nowe, i ustawiono na dawnym miejscu w stodole głównej. Zakupił też dziadek żniwiarkę z fabryki warszawskiej Lilpopa.

Podczas żniw i młocki pomagałem dziadkowi w dozorze robocizny i kontroli rachunkowości w sнопie i ziarnie. Jeździliśmy też razem na folwarki sąsiednie do Strzeżowa i Siedlisk dzierżawione przez dziadka, oraz do dworu własnego w Charsznicy o milę za Miechowem. Babka nasza, osoba bardzo pracowita, wstawała zawsze o świcie, doglądała ogrodów, gospodarstwa nabiąłowego, jeździła do sadów folwarcznych, i zabierała wcześniejsze owoce do Zagórzca.

Po skończeniu żniw, korzystając z ustalonej pięknej pogody wrześniowej, wybrałem się na dalszą wycieczkę pieszą do Pieskowej Skały i Ojcowa, w towarzystwie rówieśnika mego i kolegi z gimnazjum Skalskiego, syna rządcy dziadka w Zagórzcu. Zabrawszy małe zawiniątka z zapasem żywności i kosztury podróży, wyszliśmy ze dworu o świcie przez miasteczko Wolbrom i wieś klasztorną Imbramowice (gdzie siostrzyczka moja Marynia przed wakacjami jeszcze ukończyła pensjonat panien u zakonnicy Norbertanek). Tam też pod lasem zrobiliśmy dłuższy odpoczynek, spożywając wiktuały zabrane w drogę: chleb, jaja, mięsio i owoce.

Po południu dotarliśmy do uroczej doliny rzeczki Prądnika, pod wyniosłe mury zamku Pieskowej Skały. Zameczysko potężne i wspaniałe zewnątrz — było wewnątrz zniszczone strasznie pożarem po niedawnej bitwie z powstańcami, którzy tu bronili się, i zostali przez wojsko wyparci gwałtownie. Po komnatach spustoszonych oprowadzał nas stróż staruszek. Opowiadał głosem drżącym o zajściach okrutnych, jakie działy się tam podczas boju. Pokazywał okna, przez które wyskakiwali w przepaść powstańcy parci bagnetami. Wszędzie sterczały jeszcze belki zwęglone. Zimna pustka wiała z ponurych podziemi, ze ścian odartych i zadymionych, niedawno jeszcze tak bogatych i wspaniałych komnat. Dzięki zielska zarosły dawne kwietniki różnobarwne i park opustoszały.

Za zamczyskiem sterczała zawsze groźnie Maczuga Herkulesa czyli przezwana tak skała Sokolica, przy dolnej drodze do Ojcowa.

U stóp Sokolej skały dziewczyna wiejska młodziotka jasnowłosa, piękna jak poranek wiosenny, dała nam się napić wody źródlanej z białego dzbana i obdarzyła nas wiązanekami świeżych niezapominajek. Ofiarowaliśmy jej wzamian pełny fartuszek ślicznych rumianych jabłek. Wracając do swojej chaty z nami śpiewała krakowiaki, a jej głos dźwięczny roznosiło echo wśród skał stromych i lasu cienistego...

Pożegnawszy uroczą boginkę leśną, ruszyliśmy orzeźwieni w dalszą drogę brzegami Prądnika. Po zwiedzeniu prastarego Grodziska i krótkim odpoczynku stanęliśmy jeszcze przed wieczorem u stóp ruin zamku w Ojcowie.

Gwaro tam było i ludno około karczmy i zajazdu. W barakach drewnianych obozowało tu kilkudziesięciu drwali leśnych, prusaków ze Śląska. Byli to najmici kupców żydów pruskich, którzy zakupili lasy tameczne na wyrąb. Niszczyli je bez litości, i zamieniali w pustkowią przepiękne owe okolice. Dawny Hotel pod Łokietkiem zwany, spalony wśród bitwy, świecił nagimi murami.

Z wielkim trudem dostaliśmy w karczmie, po całodziennej podróży pieszej, zaledwie parę szklanek mleka i kilka obwarzanków. Prusaki, przy wielkich ogniskach na dworzu, smażyli sobie kielbasy z kapustą i ziemniakami, zapijając obficie piwem. Zmęczeni i głodni, na noc wdrapaliśmy się z kolegą po drabinie na poddasze karczmy, wypełnione świeżym sianem i słomą (bo żadnej izby wolnej nie było). Mimo to wyspaliśmy się wybornie.

Rano, po kąpieli rzecznej w Prądniku, i po śniadaniu równie skromnym jak wieczerza wczorajsza, zwiedziliśmy z przewodnikiem ruiny zamku i dwie główne jaskinie: Ojcowską ciemną i Łokietkową na górze Chełmówce, skąd pyszny mieliśmy widok na Kraków, Wawel, kopiec Kościuszki i dolinę Wisły.

Po dłuższym wypoczynku i posilnym obiedzie w pobliskim miasteczku Skale, ruszyliśmy z powrotem przez wieś Minogę, Wysocice (z kościołem b. starożytnym), Czaple małe, i przybyliśmy szczęśliwie do domu na wieczerzę.

Do Zagórza do dziadków, prócz zwykłych gości z sąsiedztwą, z siostr mamy tylko ciotka Wincetyna Zagórska z dziećmi przyjeżdżała czasem w odwiedziny. Ciocia Eugenia Daniewska z mężem swym inżynierem i synkami: kilkoletnim Władziem i maleńkim Musiem czyli Romualdem, mieszkała w Radomiu, gdzie wuj Daniewski nabył dom parterowy z ogrodem niedaleko Poczty, i ładnie go urządził, ozdobiwszy dziedziniec wysokim wodotryskiem.

Ciotka Justyna Yordanowa mieszkała podówczas w Carogrodzie, z synkami Geniem sześćioletnim i Musiem cz. Zygmuśm pięcioletnim, w domu własnym piętrowym z ogrodem, który wuj Władysław Yordan nabył dawniej na przedmieściu Ferikje, na krańcu miasta na północ Pery koło przedmieścia Szyszli. Drugi dom piętrowy wuja Yordana przylegał do poprzedniego i był wynajmowany lokatorom. Nieco dalej od tych domów nabył wuj jeszcze ładną willę murowaną, piętrową z dużym ogrodem. Willę ową zajmował później czas jakiś książę Witold Czartoryski (syn starego księcia Adama) przebywający na Wschodzie po upadku powstania. Władysław Yordan bowiem, oraz jego bracia Zygmunt i Spytek zostawali w ciągłych stosunkach z księciem Czartoryskim jako agenci dyplomatyczni polscy za granicą.

Wuj Edmund Zagórski z żoną swą ciotką naszą Wincetyną i synkami: ośmioletnim Antosiem i pięcioletnim Karolkiem przebywali stale w swoim pięknym dworze we wsi Gniazdowicach pod Proszowicami nad rzeką Śreniawą. Podczas wakacyj letnich odwiedzaliśmy wujostwo Zagórskich parę razy, bo z Zagórza było tam niedaleko.

Tymczasem upłynęły szybko moje ostatnie wakacje gimnazjalne w Zagórze, na swobodzie wiejskiej, w zasobnym dworze dziadków, wpośród pięknego parku i ulubionych książek przyrodniczych, w których rozczytywałem się z zajęciem, sposobiąc się do wstąpienia na wydział fizyczno-matematyczny Szkoły głównej warszawskiej.

W końcu września 1864 r. pożegnawszy kochanych dziadków, wybraliśmy się z mamą i młodszem rodzeństwem z powrotem do Chęciny, gdzie ojciec po kuracji w Solcu, przybył już pierwiej 26 sierpnia, z gościny u dziadka Godeffroy, brata babki naszej.

W Kielcach tymczasem panował nastrój smutny i ciężki. Więzienie tameczne pełne było jeńców i skazańców politycznych. Po uwolnieniu mego ojca, wielu jego kolegów sądowych pozostawało tam jeszcze pod śledztwem. Także wuj Juljan Go-

deffroy starszy syn dziadka Karola, został aresztowany i tam uwięziony jako członek organizacji powstańczej. Jego matka a babka nasza Joanna oraz siostra Karolina Walchnowska pośpieszyły ratować go, i czynić starania w celu uwolnienia. Udało się to, ale znacznie później, dopiero po pokonaniu bardzo wielkich trudności.

Ostatnie moje tygodnie wakacyjne zeszyły szybko w Chęcinach na przygotowaniach wyjazdu do Warszawy. Droga matka dopilnowała troskliwie, aby mi nic nie brakowało. Spakowałem starannie wszystkie moje rzeczy i książki. Wreszcie w początku października ojciec otrzymał urlop tygodniowy i mogliśmy wyruszyć do — Syreniego grodu.

Od Wydawnictwa „Pamiętników S. J. Czarnowskiego”.

Wyszły z druku:

Zeszyt 1. Przedmowa. Wstęp. Rodowód familji Czarnowskich i rodzin z nią spokrewnionych. I. Mój ojciec i jego rodzina. II. Matka moja i jej rodzina.

Zeszyt 2. III. Lata dziecięce moje w Staszowie, Miechowie i Stopnicy (r. 1847 — 1856), rzeź galicyjska i wojna węgierska.

Zeszyt 3. IV. Lata szkolne w Kielcach (1856 — 1864), wojna włoska i powstanie styczniowe.

Zeszyt 4. Lata gimnazjalne w Kielcach (r. 1860 — 1864), powstanie styczniowe, bitwa miechowska.

Pod prasą dalsze części:

V. Lata uniwersyteckie w Szkole Głównej w Warszawie (1864 — 1869 r.), Supiński, Büchner, Bukle.

VI. Wydawnictwa moje i aplikacja sądowa w Warszawie (1869 — 1873 r.), wojna francusko-niemiecka.

VII. Księgarnia kolportacyjna w Warszawie (1874 — 1880 r.), wojna bałkańska, Włodzimierz Spasowicz.

VIII. Czytelnia publiczna w Warszawie i 1-sza podróż na Wschód południowy (1881 — 1883), wojna egipska.

IX. Podróż na Zachód i pobyt w Nicei (1884 — 1885 r.).

X. Pobyt w Konstantynopolu (1886 — 1890 r.).

XI. Powrót do Warszawy (1890 — 1894 r.).

XII. Pobyt w Miechowie i Ojcowie (1895 — 1917), wielka wojna europejska.

XIII. Pobyt w Kielcach (1918 — 1920 r.), oswobodzenie i niepodległość Polski.

XIV. Zakończenie. Marzenia niespełnione.

„Pamiętniki Stanisława Jana Czarnowskiego”, wydawane zeszytami, zawierają wspomnienia z trzech stuleci XVIII, XIX i XX w porządku dziejowym. Zeszyty dotychczas wydane obejmują, oprócz dawnych wspomnień rodzinnych (z tabelą genealogiczną), opis lat dziecięcych i czasów szkolnych autora z mnóstwem szczegółów wielce interesujących o ówczesnych stosunkach pedagogicznych, towarzyskich, społecznych i dziejowych.

Ob Wydawnictwa
 Pamisnikow S. J. Czarnowakiego

Wyszly z druku:

- XV. Lata gimnazjalne w Kielcach (1850 — 1854)
- XVI. Lata szkolne w Kielcach (1855 — 1864)
- XVII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1865 — 1874)
- XVIII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1875 — 1884)
- XIX. Lata gimnazjalne w Kielcach (1885 — 1894)
- XX. Lata gimnazjalne w Kielcach (1895 — 1904)
- XXI. Lata gimnazjalne w Kielcach (1905 — 1914)
- XXII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1915 — 1924)
- XXIII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1925 — 1934)
- XXIV. Lata gimnazjalne w Kielcach (1935 — 1944)
- XXV. Lata gimnazjalne w Kielcach (1945 — 1954)
- XXVI. Lata gimnazjalne w Kielcach (1955 — 1964)
- XXVII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1965 — 1974)
- XXVIII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1975 — 1984)
- XXIX. Lata gimnazjalne w Kielcach (1985 — 1994)
- XXX. Lata gimnazjalne w Kielcach (1995 — 2004)
- XXXI. Lata gimnazjalne w Kielcach (2005 — 2014)
- XXXII. Lata gimnazjalne w Kielcach (2015 — 2024)
- XXXIII. Lata gimnazjalne w Kielcach (2025 — 2034)
- XXXIV. Lata gimnazjalne w Kielcach (2035 — 2044)
- XXXV. Lata gimnazjalne w Kielcach (2045 — 2054)
- XXXVI. Lata gimnazjalne w Kielcach (2055 — 2064)
- XXXVII. Lata gimnazjalne w Kielcach (2065 — 2074)
- XXXVIII. Lata gimnazjalne w Kielcach (2075 — 2084)
- XXXIX. Lata gimnazjalne w Kielcach (2085 — 2094)
- XL. Lata gimnazjalne w Kielcach (2095 — 2104)

Pod prasą daluze czesci:

- I. Lata gimnazjalne w Kielcach (1805 — 1814)
- II. Lata gimnazjalne w Kielcach (1815 — 1824)
- III. Lata gimnazjalne w Kielcach (1825 — 1834)
- IV. Lata gimnazjalne w Kielcach (1835 — 1844)
- V. Lata gimnazjalne w Kielcach (1845 — 1854)
- VI. Lata gimnazjalne w Kielcach (1855 — 1864)
- VII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1865 — 1874)
- VIII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1875 — 1884)
- IX. Lata gimnazjalne w Kielcach (1885 — 1894)
- X. Lata gimnazjalne w Kielcach (1895 — 1904)
- XI. Lata gimnazjalne w Kielcach (1905 — 1914)
- XII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1915 — 1924)
- XIII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1925 — 1934)
- XIV. Lata gimnazjalne w Kielcach (1935 — 1944)
- XV. Lata gimnazjalne w Kielcach (1945 — 1954)
- XVI. Lata gimnazjalne w Kielcach (1955 — 1964)
- XVII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1965 — 1974)
- XVIII. Lata gimnazjalne w Kielcach (1975 — 1984)
- XIX. Lata gimnazjalne w Kielcach (1985 — 1994)
- XX. Lata gimnazjalne w Kielcach (1995 — 2004)
- XXI. Lata gimnazjalne w Kielcach (2005 — 2014)
- XXII. Lata gimnazjalne w Kielcach (2015 — 2024)
- XXIII. Lata gimnazjalne w Kielcach (2025 — 2034)
- XXIV. Lata gimnazjalne w Kielcach (2035 — 2044)
- XXV. Lata gimnazjalne w Kielcach (2045 — 2054)
- XXVI. Lata gimnazjalne w Kielcach (2055 — 2064)
- XXVII. Lata gimnazjalne w Kielcach (2065 — 2074)
- XXVIII. Lata gimnazjalne w Kielcach (2075 — 2084)
- XXIX. Lata gimnazjalne w Kielcach (2085 — 2094)
- XXX. Lata gimnazjalne w Kielcach (2095 — 2104)

„Pamietniki Stanisława Jana Czarnowakiego”, wydane
 z okazji 100-lecia urodzin autora, w trzech tomach: I, II, III, XIX, XX,
 w porządku kolejności. Czasy dotychczas wydane obejmują
 okresy: I, II, III, IV, V, VI, VII, VIII, IX, X, XI, XII, XIII,
 opis lat dziecięcych i czasów szkolnych autora z młodzieżą
 kolegów, wliczając w to okresy: I, II, III, IV, V, VI, VII, VIII,
 biograficznych, towarzyskich, społecznych i dziejowych.